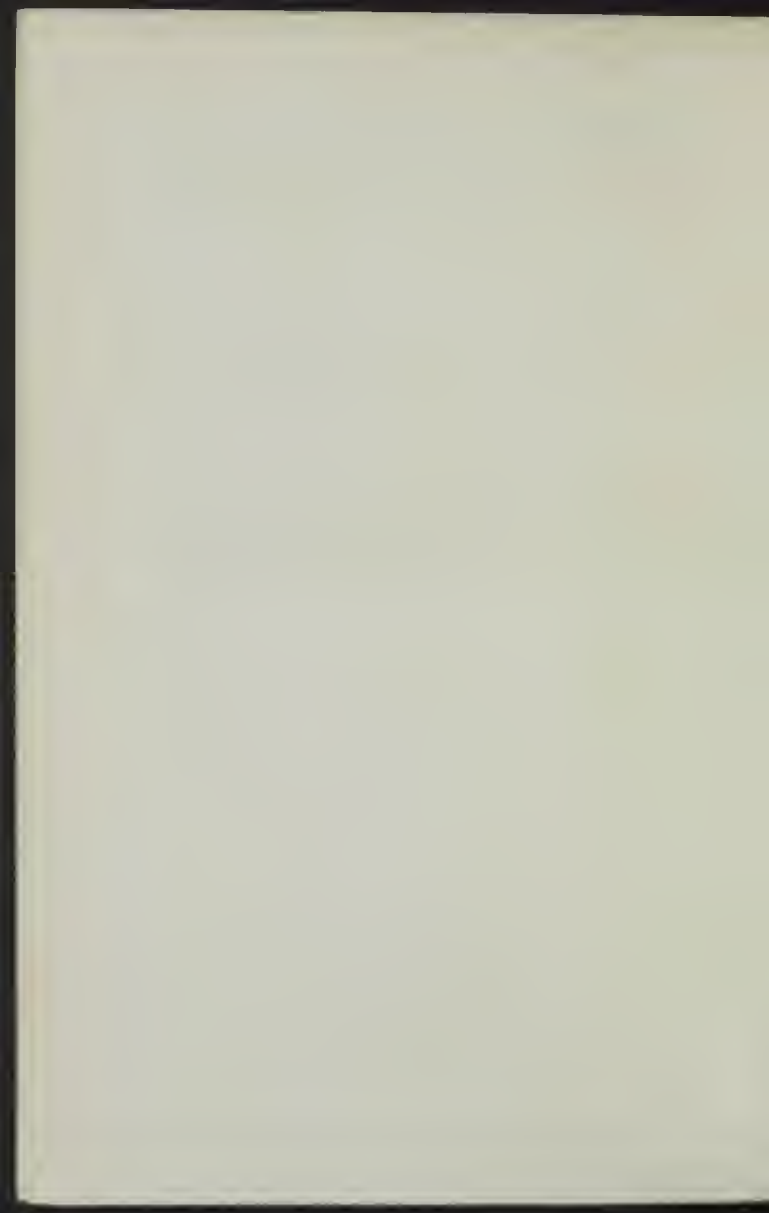


ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom czterdziesty ósmy.



# ZŁOTE JABŁKO

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.

— Tom III. —

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha 1. 10.

1873.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.

Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.



## ROZDZIAŁ I.

---

### **Pocztą. Mieszkancy złotego jabłka.**

Tydzień przebyty na wsi wszystkim dawnym, stałym miasta mieszkańcom, chociaż go przerywały różne wypadki, wiele pracy i zachodu, wydał się jednak dość długi. Dnie płynęły tak jednostajnie, oko tak zawsze ten sam przedstawiało widok, brakło tak bardzo wiadomości, ludzi i świata! Jak na przekorę jeszcze pocztą była oddalona o mil kilka i od przyjazdu swego do Zakala Bał nie miał żadnej z Warszawy wiadomości. Przywykły w kraju, gdzie lepsze drogi i żywsze komunikacje ułatwiają codzienne niemal stosunki oddalonych stron, do gazety, do wiadomości, do ruchu myśli odżywionej i podsycanej czemś ciągle nowem, pan Erazm z niespokojnością wyglądał dnia w którym miał odebrać korespondencję, ale dwa razy zawiodła nadzieja, nie mu posłaniec nie przywiózł. Posłano raz trzeci i na widok pakietu wszystkim serca zadrżały, ręce się wyciągnęły... Bał siadł na krześle zatopiony w Kurjer-

ku, którego chciwie aż do ogłoszeń o nawiązanych śledziach pocztowych pożerał; lzy mu stawały w oczach. serce biło, spoglądał tylko czy go kto nie widzi, bo się wstydził. ulubioną wioską otoczony, tak tęsknić za miastem.

Stanisław w swoim pokoju zamknięty czytał odpowiedź na list, który tylko co przybywszy. do Konstancji napisał. ta była następująca:

*Warszawa....*

„Widzisz pan jaką ze mnie gorliwą masz korespondentkę. ledwie jego list przeczytałam już odpisuję. Proszę tylko tego pospiechu źle sobie nie tłumaczyć, jest to prosta litość.

List pański taki smutny. Mój Boże! jestże to takie nieszczęście pojechać na wieś? przyznam się że dla mnie całkiem by to się wydało przeciwnie. Ale między nami jest wielka różnica, pan wychowałeś się w mieście. ja na wsi: wszystkie moje wspomnienia tam mnie ciągną. w mieście mam tylko maleńki skarb, trochę łez i smutku. Na wsi przeżyłam młode, wesołe, dzieciinne lata, po których się tęskni do grobu; nie dziwuj się pan że mu jego nieszczęścia gotowam zazdrościć. Wszystko, aż do tej dzikości krajobrazów, do ponurej ich ciszy. do braku barw. do smutku czarnych lasów. wszystko mi tam tak powabne. tak się piękne wydaje. nawet w jesieni. Widzę jasno, że człowiek jest wedle słów tego filozofa, który niechcący prawdę powiedział, *związaniem natogowem*, nie tylko kocha kraj swój, ale kątek, w którym pierwszy raz podniósł głowę i uczuł serce, gdy go zabolalo. Dla niego ten kątek ogniskiem, środkiem, stolicą. Przykro mi że sto-

lice waszych królestw tak od siebie leżą daleko. Chciałabym pała ze wsią pogodzić, chociaż pojmuję, że kto się nie zżył z tym krajem, nie łatwo pozna się na jego wdzięku.

Westchnęłam z głębi serca czytając opis podróży, przybycia i widoku Zakala. Wiesz pan że Zakale mi znajome, łączy się ono ze wspomnieniami młodości mojej, a więc mi i ono drogie. Proszę na nie bardzo nie wyrzekać i nie widzieć go tak czarno. Ten stary dwór jak przez sen i mgłę widzę w swoich przypomnieniach dziecińczych.

Chcesz pan bym mu coś pisała o Warszawie? Rozśmieszysz się gdy mu powiem, że jej nie widzę, że dla mnie to pełne życia miasto jest pustką. Siedzimy w domu, godziny nasze biegają jak siostry rodzone w jednakowych sukienkach, z jednakowymi uczkami, jednym powolnym kroczkiem. Raz tylko byłam w kościele na Śto-Jańskie] ulicy, a przechodząc rzuciłam okiem na puste dwa okna. W jednym z nich, pamiętnem dla mnie, ujrzałam wesołą twarzyczkę nśmiechającej się dziewczeczki, która schylona nad robotą, niekiedy podnosiła oczy na ulicę. Dzięki Bogu, różowe jej policzki, jasne oczy, upewniały mnie, że nie zawsze smutek w jednym mieszka kątku. Z drugiego okna wyglądała blada, smetna twarz Strumiszka, który jak woskowa figurka zawsze siedzi przy swoim pulpicie.

Zreszta cóż panu doniosło? nie się nie zmieniło, nie nie przybyło ani nieiekło; myśl tylko moja, za co się na nią gniewam, częściej na wieś jeszcze od niejakiego czasu wyjeżdża.

Muszę kończyć, bo się poczty zgubić obawiam, pisz pan proszę obszernie o wsi, bo ja ją lubię, ja ją ko-

cham (proszę się za to nie gniewać). A może też i pan pogodzisz się ze smutnem Zakalem? Trzeba nie mieć iskierki jednej w duszy, żeby nie przenieść garści złotego piasku i zeszkłej trawy nad najpiękniejszy bruk w świecie. Pożycz pan od ojca trochę jego zapachu.“

Lizia nawet, która z takimi nadziejami jechała na wieś, spojrzawszy na listy i zarumieniła się mimowolnie ujrawszy na jednym z nich znajomą sobie rękę Strumisza. Do niej jednej od nikogo nie było ani słowa. To też dotknięta tęsknotą gdy wszyscy zasiedli do listów i gazet, usunęła się w kąt i poczęła dumać, co się jej rzadko trafiało, po młodemu, z tym smutkiem do zazdrości, który jest tylko zamaskowaną nadzieją!

Dzięki Bogu, listy co zawsze prawie złe wieści przynoszą, na ten raz przysły pełne uspokajających wiadomości, Strumisz upewniał, że wszystko idzie i iść musi dobrze. uwiadamał że wysłał bryki do Zakala niecierpliwie oczekiwane, troskliwie się dopominał wiadomości o podróży, przybyciu i rozgoszczeniu.

Pewien był licznych zawodów które tu spotkać miały pana Erazma i zawczasu nad nimi bolał, nie tyle szkody ceniąc ile cierpienia.

Ale dotąd, jak widzieliśmy, Bał nie dawał się porządzić w żaden sposób; powiedziawszy sobie, że kocha wieś, że ona go uszczęśliwić tylko może, brał wszystko z dobrej strony, nie spoglądał na podarte podszewki. Zmęczony nie przyznał się do nudy, zmęczony nie pokazywał zmęczenia. a każdy zawód ubierał w barwy nadziei.

— Wieś! nie ma jak wioska! powtarzał żonie, która szczerze i otwarcie na nudy narzekała i śmiała

się z pierwszej próbki wiejskiego towarzystwa.

— Nie przeczę, pan Porfiry Szlapiński...

— Szalawiński! zmiłuj się pan, śmiertelnie go obrażasz podobną omyłką.

— A! muszę dobrze sobie zanotować, Szalawiński, nie przeczę dosyć jest śmieszny ale ręcę że bardzo poczciwy człowiek... naiwny, prosty, serdeczny. — Parciński przytomny rozśmiał się bez ceremonji.

— Ja lubię tę prostotę, tę powierzchowność szorstką, podchwycił Bał, kryje ona wielkie przymioty serca, któremi się my miast mieszkańcy chwalić nie mamy prawa. Wolę powierzchowność trochę niekorzystną, byłem mógł na wewnątrz rachować. Zresztą niekoniecznie wszyscy są podobni do pana Porfirego.

Było to wieczorem jakoś, wywołano pana Bała do jego pokoju, przyjechał w pilnym interesie leśniczy. Twarz jego posępna nie rokowała nic dobrego, kręcił wąsa. miał czapkę i z nogi przestępował na nogę.

— Cóż mi tam masz powiedzieć, spytał Bał.

— Sam nie wiem Jaśnie panie od czego zacząć, ale licho mamy.

Pan Bał ruszył ramionami tylko.

— No, cóż tam takiego?

— A źle! źle! chłopci się nam panie buntują!

— Co Waćpan pleciesz! — zawołał Bał jednak bledniejąc.

— Tak jest Jaśnie panie, po wszystkich wioskach narady, rozjątrzenie niezmiernie, gawędy... z karczem nie wyłazą.

— Ale o cóż chodzi?

— Koniec końcem mówią, że słuchać nie będą! — rzekł leśniczy — licho wie co to jest.

— Z czegoż to przecie poszło? to być nie może!

— Już jabym Jaśnie panie plotki nie przyniósł, zamazyście odparł leśniczy, ale tu jakieś лихо ktoś sieje. Oni tego sami nie zmyślili. Wyobrazili sobie, że to dla nich z ujmą ich chłopskiego honoru.

— Co takiego? co takiego? — zdziwiony spytał pau Bal.

— Ot, jednem słowem powiedzieli, że oni byli książęcy, grafowscy, a że Jaśnie pan ani książę, ani graf, to go słuchać nie będą.

Bal osłupiał: sielanka jego dziwne jakieś przybięrała kształty, wszystko co marzył z rąk mu się wysunęło: ten lud jego ukochany, na którego twarzach pocziwych czytał tyle uczucia, tyle przyjaznych dla siebie życzeń, tak boleśnie uderzał go w samo serce.

— Ale powiedzcież im, zawołał po chwili obie wyciągając ręce, że moje szlachectwo książęcego i grafowskiego warte.

— E! Jaśnie panie, to nie ma co w rozmowory się wdawać, odparł leśniczy krećcąc węsą, mnie się widzi, że który pierwszy nie posłucha, dać mu dobrą naukę, a to się to uciszy.

— Bieć? a uchowaj Boże! zakrzyknął pau Bal, na to nigdy nie pozwolę, nigdy!

— Jak to Jaśnie panie? a jeśli zasłuży?

— Znajdą się inne sposoby.

— O! jeśli tak, rzekł Krnżka, to bywajcie zdrów, nie pogospodarujemy tu długo.

Pau Bal smutnie się uśmiechnął, ale teoria leśniczego poprawiła jego doniesienie, oboje mógł pocziwy kupiec razem odrzucić, odwaga wstępowała mu w serce.

— Ale dotąd słuchają? spytał.

— Dotąd jako tako.

— No! to my nie mamy prawa wglądać w to, co po pijanemu bzdurzą.

— Jaśnie panie, co u trzeźwego na myśli, to u pijanego na języku.

— Od myśli panie Józefie do uczynku daleko.

— Ha! jak się Jaśnie panu podoba, odparł z ukłonem Krużka; ja miałem sobie za obowiązek jako wier-ny sługa donieść o tem co się święci, a reszta do mnie nie należy.

— I wierz mi, nic z tego nie będzie.

— Daj to Boże, ale niech Jaśnie panu predko o drugim rządce myśli. a jeszcze predzej wysadza tego Su-  
pelka. bo póki on tu będzie spokoju mieć nie możemy. Wszystko to jego roboty.

— To najpewniej, ale czemuż się nie wynosi?

— Miejsca słyszę nie ma u hrabiego.

— Niech gdzieindziej szuka.

— Nie tak to łatwo!

— Co się tyczy ludzi. panie Krużka, proszę z niemi jak najłagodniej, jak najgrzeczniej, jak najlepiej.

— Jaśnie panie, górę wezmą... pan ich nie zua.

— Poradźmy sobie, jak oni mnie lepiej poznają.

Pan Bal ufając w swoje dobroć, uśmiechnął się. ale niespokój wkra-  
dł się był w jego duszę, wyszedł do  
saloniku zasmucony, zadumany, potrzebował znów pod-  
dmuchnąć sobie marzeń dawnych. żeby się wrócić na  
stanowisko admiracyjne, z którego spychały go codzien-  
ne wypadki. O! jak to zawsze rzeczywistość daleka  
od marzeń, choćbyśmy o najprostszej, o najpoziomszej  
rzeczy marzyli.

Podnosząc portjerę uśmiechnął się pan Erazm, żeby

żona nie poznała co się w nim działo, zatarł ręce, począł się żywo przechadzać.

Staś, pani sama, poznali zaraz, że go coś dotknęło, bo nikt gorzej nad niego nie ndawał, ale Bal jakby się tego domyślał, rozpoczął żywo mówić o swoich projektach na przyszłość.

— Niech no Bóg da doczekać wiosny — zawołał — słowika, zapachu lasów. szumu wód, woni brzoź rozpękniętych, dźwięku pastuszych fletów. zobaczycie jaki to raj ta wieś! Co do mnie nawet w tej chwili widzę w niej wdzięk nieopisany — coś majestatycznego, pomurego, ale surowej, wysokiej piękności.

— Takie wrażenie muszą robić stepy i pustynie — odparła żona...

— O! o! nie dziwnię się tobie, tyś córka miasta i kochasz je miłością wszystkich pokoleń twojej rodziny, która zrosła wśród miast. we mnie pozostała pamiątka zagasłej przeszłości, dla mnie nie ma jak wieś...

Lizia, która tak z ojcem wzdychała do wioski, podniosła zwieszoną główkę, spojrzała po pustym pokoju, i z trochę niecierpliwości odezwała się:

— Ale drogi papo! żeby coś kochać, trzeba znać...

— To kwestja, śmiejąc się przerwał ojciec, może właśnie przeciwnie.

— Ja przynajmniej — kończyła chmurno faworytka ojcowska — com tak była ciekawa wioski. przyznaje, że dotąd niczem mnie ona nie pociąga. Nie znamy jeszcze nikogo, bo trudno mi liczyć do miłych znajomości gromadę która była na dziedzińcu i pana Porfirgo który się rozkrzyżował w pokoju... Zaczniemyż używać wsi...

— Trochę cierpliwości, przerwał ojciec, żeby rozpo-



cząc znajomości, trzeba je mieć gdzie przyjąć, dom cały rozrzucony, połowy przyborów braknie.

— No więc tymczasem papo nie miej nam za złe że się nudzimy, a przyznaj się że i ciebie to nie bawi.

— Co? mnie! zawołał pędem podbiegając pan Bal, mnie nie bawi? zkadżeś to wyczytała? ja jestem szczęśliwy, ja jestem w swoim raju.

— Papeczko! a twoje kłopoty?

— Jakie? nie mam żadnych!

— Ej! ej! czyż się godzi tak mówić?

— Powiadam ci, że jestem szczęśliwy!

— I nie papy nie zawiodło?

— Nie! nie! wszystkom znalazł jak chciałem, cieszę się, raduję, rozpatruję i marzę.

— Co to za szczęście tak sobie wyobrazić, że człowiek szczęśliwy! odparła śmiało Lizia, ja bardzom była rada wiosce, ale przyznaje, że się tu okrutnie nudzę i już mi żal Warszawy.

— Nie dziw, tyś kobiecina, a kobiety zawsze żałują tego, co przed chwilą ich nudziło.

— Papo! stajesz się złośliwy w skutek wielkiej szczęśliwości.

Bal trzepotał się jak mógł, śmiał, ale mu ciężko było na sercu, teraz gdy już leśniczego odesłał, nasionko przezeń rzucone narastało się w głowie... najdziwsze wyradzając owoce. Niechęć włościan olbrzymiała, przerażała go, przybierała fantastyczne rozmiary, każdy szelest go zastraszał, groził mu, wstrząsał, przychodziły na myśl historie zapomniane, krwawe sceny, obrazy płomieniem malowane. Męczył się jednak z sobą żeby nie dać poznać co się w nim dzieje, i zaraz po wieczery, zabrawszy Stasia i Parcińskiego, ru-

szyl z niemi do swego pokoiku. Tu zaparlszy ich do kątka obu, rozpoczał po cichuteńku opowiadanie leśniczego.

— Moze to być plotka, rzekł do swego tymczasowego plenipotentą, ale mnie to trochę niepokoi. Wystaw sobie pan, chłopci wbrew i głośno odgrają się, że słuchać mnie nie będą.

— Z czegoż to poszło? spytał spokojnie Parciński.

— Właśnie że jawnego powodu nie ma; powiada leśniczy. że ich dawny rządcą podburza, dali się z tem słyszeć, że byli książęciami, grafowskiemi, więc prostemu jak ja szlachetce ulegać nie myślą.

— A cóżeś pan kazał z tem zrobić? rzekł kiwając głową Parciński.

— Na burzenie nic, na gawędy ich po pijanemu nie ma co zważać, nieposłuszeństwa dotąd jawnego nie ma, głupi Kruźka radził mi zaraz wziąć się do srogosci, ale ja mam inny środek: jestem apostołem cywilizacji i działać będę łagodnie.

Parciński uśmiechnął się i skłonił głowę.

— Więc pan wiesz i gotów jesteś na wszystko co jego misja apostolska pociąga za sobą? — zapytał.

— Jakto? co?

— Pan więc chcesz tych ludzi z gruntu na innych przerobić?

— Pochlebiam sobie, że powoli...

— Piękny to zaiste cel życia, rzekł Parciński, ale na olbrzymie się pan rzeczy porywa! Nie znasz pan tego ludu jeszcze do którego przychodzisz, powiadasz, jako posłannik cywilizacji... Jest to poczeiwe plemię, jest to lud w istocie najlepszy w świecie.

— A ha! a ha! zakrzyknął Bał.

— Ale to są pocziwe dzieci... Z dzieci nikt na przedce nie potrafi porobić mężów, tembardziej z ludem w stanie dzieciństwa; na to potrzeba jeśli nie wieków to długich lat powolnego, stopniowego rozwoju. bo co nagle, to po djabie.

— A tymczasem?

— A tymczasem, dokończył zimno Parciński, z dziećmi potrzeba postępować jak się winno z dziećmi.

— Wiec łagodnie.

— Łagodnie najprzód, póki łagodność starczy, z surową sprawiedliwością, gdy się okaże wina, zawsze wiedząc czego się chce i do czego się idzie, a nie cofając nigdy. Moje porównanie ludu do dzieci tak jest ściśle, tak dobre, smiem powiedzieć, że co tylko stosuje się do wychowania dzieci, da się zastosować do wychowania ludu. A tymczasem widze, że pan z dobrego serca możesz wiele zrobić złego.

— Ja! złego! im! — zawołał oburzając się Bał i chwytając oburacz Parcińskiego. który ze strachu się cofnął.

— Pozwól mi pan się wytłumaczyć, rzekł powolniej, pan żywo rzeczy pojmujesz i żywo działasz, a tu rok ani dwa nie nie mogą... Dzieci potrzebują czasu, by dorosły. Ogólny stopień cywilizacji podnosi się co chwila, a z nim i stopień cywilizacji ludu: co więcej, równowazy się coraz bardziej oświecenie klas, znikają różnice w ich stanie, ale to wszystko dzieje się więcej sprawą Opatrzności, niż tych co myślą, że ją potrafią wyprzedzić. Za gorąco się biorąc, można wszystko popsnąć, bo tu żadnego stopnia przeskoczyć nie potrafimy. Dziś wiec nie pozostaje nic więcej, jak czyniąc co można do stopniowego ukształcenia ludu, postepo-

wać z nim tak go biorąc jak jest, nie takim jak być ma. Jeśli pan zechcesz rozmawiać z niemi od razu, głowy im poprzewracasz i nic nie dokazesz.

— A cóż robić? spytał zamyślony kupiec.

— Powtarzam, co tylko można, by ich byt materialny i moralny podnieść, a nim się to robi, wieść ich jak dzieci. nie rozmowaniem. ale posłuszeństwem. Wiem, że to zdanie może się dziko wydać pannu nawyklemu do teorji. ale ja napatrzyłem się świata i mówię, com nie z książki. ale z doświadczenia wyssał. Najlepszym dowodem. że tu rozumowanie nic potem, jest to, iż gdybyś pan chciał nie rozkazem, ale dobrą wolą skłonić ich do przyjęcia trochę oświaty. ważnych nlepszeń i t. p. i tegobyś nie dokazał. Do szkółki nikt nie pójdzie, do plóźka nowego nie zaprzęże w początku z ochoty, bo nikt nad nich mimo biedy nie ma silniejszego instynktu konserwacyjnego. Sądź pan z tego co mu czynić wypada.

Na tem się skończyła rozmowa, a pan Bał poszedł spać strasznie markotny.

---

## ROZDZIAŁ II.

### W parafjalnym kościele.

Kościółek parafjalny w najbliższym Zakala miasteczku, z drugiej strony Horynia, stał na wzgórzu piasczystem, osadzony kilka sosnami i brzożami, które pomimo nieżyźnego gruntu bujać się rozrastały. Była to niepozorna skromniutka budowa, murowana wprawdzie ale ledwie parafjau mogąca w sobie pomieścić. Za wzór jej służyły kościółki jakich w kraju naszym mnóstwo, z kopulką na środku, z dzwonnicią na cmentarzowym murze, z wieżyczkami po bokach niskimi. Do koła rozciągał się cmentarz, który dawniej służył za miejsce pogrzebu, a dziś tylko do proc-sji na Boże Ciało. Kilka wklęsłych mogił, kilka płaskich kamieni i spadzistych krzyżów świadczyły o miejscach spoczynku.

Wewnątrz była to wiejska świątynka, którą ja wolę od wielkich kościołów po miastach; tam Bóg w całym majestacie, tu z całą swą nieprzebraną miłością. Nawet niesmak przystrojeń jaskrawych. nawet niezgrabne cho-

ragwie i obrazy samem malowane uczuciem, bo w nich ani rysunku, ani barwy nie znajdziesz. mają wdzięk pewien dla mnie. Te szklanne paciorki przy ołtarzyku przenośnym. wstążki i lnem pozwiązane świece żółte są tak gorącego nabożeństwa ofiarą. Często w najniezgrabniejszym obrazku błyska myśl głęboka, której ręka nie podolała, którą wydała na świat niomną ale żywą, gdy w obrazach uczonych malarzy zimne i bez myśli naśladownictwo ostygłych dawno wzorów.

Tu jeszcze schroniła się stara pocziwa nabożność, która nie potrzebuje rozmowiania, żeby się na niem jak kaleka na kulach oparła.

Przejdźmy po tym pustym kościolku, w którego ławkach z jednej strony siedzi trzech mieszczan w kapotach taśmami oszytych, z drugiej cztery mieszcanki dyszkantem szczerym choć krzykliwym wywodzące *Zawitaj Pani światów!*

Nie ma tu kroku na którym byś nie znalazł śladu myśli lub uczucia, piętna niedoli ludzkiej lub uśmiechu ocalenia. Te wyklęczane wschodki pod presbyterjum, ilu grzeszników pocieszonych stopami były dotknięte! Ten krzyż drewniany, któren ubrano w wieńce dziś zeschnięty, tak się już otarł pod dłońmi pobożnych krncyferów! W starym konfesjonale ile lez oschnęło i strapięć zniknęło! A też świecące *ex vota*, nie sąż całą historją wielu pokoleń, których wdzięczność przeżyła i boleść i pociechy?!

Wszystko to naiwną wiarą uśmiecha się jeszcze; lubię i tę pobożną grę, która wisi u drzwi przy kropielnicy, i ten straszny czyściec, który cię zniewala do westchnienia za dusze zmarłych.

W wielkim ołtarzu wisi czarny krwią obłany krzyż

Chrystusów, a na nim Pan świata i Pan boleści skłonił głowę cierniem oplecioną, przykrytą koroną. On umiera jeszcze codzień jak umarł na Golgocie. I nad głowami twojami ten sam krzyż powtarza się na tarczy, ale tu nie sam Chrystus jak w ołtarzu, tu wszyscy co mu zostali wierni w męczeństwie: matka, uczeń nkochany i wielka grzesznica.

Na lewo, w każdym kościółku i tutaj znajdziesz ołtarz Matki Bożej, a przy nim, koło niego, co ofiar, co kwiatów, co strojów! Przez serce macierzyńskie wszyscy droge czują do syna. Na starym obrazku poważne, smetne, czarne przegląda oblicze Marji, jak gdyby malarz przedstawiając ją nie we wdzięku młodości, ale w majestacie męczeństwa z dzieciną Boską na ręku chciał wyrazić, że do końca była tylko matką.

Z drugiej strony w habicie grubym kłęczący przed Jezusem dzieciątkiem goreje miłością święty Antoni. Zbываło malarzowi na nauce, ale uczuciem ją zastąpił, i nad tym pokornym, ubożuchnym zakonnikiem świeci korona, zdobyta poświęceniem dobrowolnem.

Do koła masz stacje męki pańskiej i świętych od ludu nkochanych: Stanisław z Piotrowinem, Wojciech z włócznią i wiosłem, św. Mikołaj z dzieciątkami, św. Erazm z okropnym swego męczeństwa obrazem. Oto jeszcze św. Anna z dzieciną... Ale któż wyliczy co tam pobożne pozawieszały ręce? Tu i owdzie wyczytasz nagrobek na ścianie, pokaże się ponsowy żupan fundatora, czarne zasłony jejmości... Nad ławkami stoją rzędem chorągwie, a na nich znowu obrazy i cyfry i daty ofiary. Z jakim to uczuciem pierwszy raz chłopie dorosłe odmyka klamrę żelazną, mając za zgodą starszyny dźwignąć to godło zwycięstwa!

Maleńki organ wygląda na chórze ze swemi aniołkami trochę roztrzepotanemi, którym czas skrzydła polamał. Niżej te stosy desek, te piramidy czarne, to przybór pogrzebowy, który tylu już trumnom towarzyszył, tyle ich jeszcze dźwignie. Każda kropla wosku co na nim stężała, wygląda mi jak łza ludzka... Dwie myszki uwijają się wesoło po katafalku jak w domu.

Na cmentarzu już się lud gromadzić poczyną, obchodzi do koła kościołek, czekając mszy i po cichu wiodąc rozmowę. Dzionek jakby umyślnie trochę przyniósł ciepła i jesienne słoneczko przygrzało na pożegnanie. Nie jeden z tych co tam wesoło gwarzą, już go na wiosnę nie zobaczy.

Powoli jednak kościołek napelniać się zaczyna, wchodzi pobożniejsi, zajmują miejsca zwykłe, w ławkach, na katafalku, pod konfesjonalem, przy ścianach i stacjach.

Dzwony zaczynają się rozlegać, jeden, dwa, trzy, uderzyły wszystkie razem, rzekłbyś że śpiewają ochotnie chwałę Bożą nim ją ksiądz z ludem u ołtarza zanuci. Ustały chwilę i rozkołysały się znowu, aż nareszcie widać po drogach wiodących do miasteczka tumany pyłu, powozy i bryczki.

Pierwsi państwo Hurkotowie stają przed bramą, obejrzeni się że jeszcze powozu nie ma żadnego i jego mość ścisnął żonę za rękę. — Do pierwszej ławki! do pierwszej ławki! żywo! chwała Bogu nie uprzedzili nas. Z podsądkiem oprócz żony przybyły dwie córki, starsza wysmukła panienka, ale bardzo nieładna, i młodsza, z której pucułowatej twarzyczki nic jeszcze wróżyć nie można. Powóz usunął się na bok, a państwo zajęli szczęśliwie całą pierwszą ławkę po prawej ręce i tak się rozsiedli, że więcej się już tam nikt nie zmieści.



Zaledwie się to stało, trzy razy słychać powtórzone z bicza kłaśnięcie, pędem leci stary kocyk zielony, cztery konie kasztanowate w krakowskich chomątach, liberja spłowiało-migdałowa, a płaszcze o szczęciu pele-rynach. To państwo Dankiewiczowie.

— Spóźniłiśmy się! zawołała z domu Kościńska, są już Hurkotowie, pierwsza ławka zajeta.

— A jednak tego osła Piotra pędziłem jak mogłem, żeby nie marudził, rzekł zżymając się Dankiewicz. Siadaj duszko po lewej ręce w pierwszej...

— To mi wszystko jedno! poważnie odezwiała się pani, choć widać że nie było jej zupełnie jedno gdzie usiądzie: pilnuj tylko żeby lada kto do nas nie wlaźł, bo niemila rzecz, jak ta stara szlachcianka pod bok mi się wscibi, a tak ją czosnkiem słychać...

— Jeśliby oni przyjechali, dodała z przyciskiem, ustąpisz damom i puścisz je do muie.

Dzwony dzwoniły jeszcze, a bryczki szlacheckie zajeżdżały żywo i lud cisnął się już do kościoła: ławki się coraz zapelniały; kilku mężczyzn, na których czele pan Porfiry w pysznym płaszczu hiszpańskim, podbitym manszestrem udającym aksamit, zastanowili się u furtki, ciekawość trzymała ich tu przykutych; pan Teofil Zmora w paltocie, Jaś Pancer w kruciuchnym surduciku dziwnie z siwemi włosami sprzecznym i Hubka w pospolitym płaszczu, ale ze lśniącego granatowego sukna, składali to gronko.

— Coś nie jadą, rzekł pan Zmora, niecierpliwie się. przyznam się panom że nie bardzo lubię stać na podwórzu i wilgoci nie wiedzieć dla czego... a jednak dla ich towarzystwa dotrzymuję... Ci państwo mieliż być pewnie?

— Ale jakże! zawołał żywo Porfiry zarzucając róg płaszcza na ramię, i drapując się przepysznie, jestem najpewniejszy tego, mam swoje wiadomości... konie i powozy kazano przygotować, wszyscy mieli przyjechać.

— Jużby być powinni, śmiejąc się rzekł Hubka.

— Jedenasta przeszło, dodał Jaś dobywając zegarka który miał w kieszonce na piersiach.

— Zaraz będą, zobaczycie, rzekł Szalawiński...

— Otóż jadą!

— Jadą! — Jadą!

Powtórzyli wszyscy i oczy zwróciły się z ciekawością niewypowiedzianą na drogę, wśród której widać było przesłiczną karetę państwa Balów i świeży ich kocz wiedeński; w pierwszej jechali państwo sami z córką, w drugim Parciński ze Stanisławem.

Jak tylko zajrzeć ich mogli ci panowie, rozpoczęły się sypać uwagi i postrzeżenia, a każdy ukradkiem coś około siebie poprawił, nawet Hubka płaszcz spadający mu z ramion nasunął i czapkę przegiął na bok dla dodania sobie fantazji. Porfiry starał się być bliżej furtki, chcąc korzystać ze znajomości i pierwszy ich powitać.

— Ekwipaże przepyszne! rzekł Paucer, prześliczne! konie ładne! o! do kata! jakże się szkapę i niedobitki Dangłowskie przy tych świecidelkach wydadzą? Co powiedzą Hurkoty i Dankiewicz?

— Trzeba przyznać że i powozy i zaprzęgi smakowne... dodał Zimora.

— Karetą najmniej 300 czątych kosztować musiała, mruknął Hubka.

Porfiry układał tymczasem powitanie i milczał pracując nad frazesem, którym miał państwa Balów u furtki przjąć.

Zmora z niejakim niepokojem myślał, czy pozostać w tem towarzystwie, czy nie kompromitując się niem wysunąć do kościoła. ale ciekawość go do ziemi przykuła. Powozy co chwila się zbliżały, coraz nowe wywołując nwagi, nareszcie zatrzymały się przed furtką.

Kto kiedy z was mili czytelnicy, wchodził pierwszy raz w nieznane sobie towarzystwo tłumne, i jak zawsze prawie bywa, w początku nieprzyjazne, wie co doznaje człowiek przechodząc przez różgi spojrzeń, przez egzamen szyderski mnóstwa oczów skierowanych by w nim wyszukać śmieszności.

Państwo Bałowie mniej może doznali tu wzrnszenia, bo nie przekouali się jeszcze jaka jest różnica towarzystwa wiejskiego od społeczności miejskiej, a tłum był dla nich rzeczą codzienną, nie nową. Ale inna to była pokazać się w mieście, inna tutaj gdzie od guzika sługi do trzewika pani wszystko baczne oko próżnujących wieśniaków obejrzeć musiało. Im bardziej uderzał od razu powóz, konie, ludzie, zamożność, tem głodniejsza budziła się ciekawość, a w chwili gdy z trzaskiem rozpadły się stopnie karety, oczy wszystkich stojących na cmentarzu utonęły wewnątrz powozu.

Hubka tak się zapominał że usta otworzył naiwnie, Porfiry stał gotując swój komplement; Zmora ukluty w serce przepychem przybyszów, powtarzał sobie w duchu, kupiec! kupiec! tak! stare rody upadają, nowe na scenę wychodzą.

Ale już Bał z rozjaśnioną twarzą, wesół, ciekawy, szczęśliwy wytoczył się z powozu by podać rękę żonie, przyskoczył widząc to pan Porfiry, z koczka przypadli Stanisław i Parciński, całe towarzystwo stało przed oczyma ciekawych, mignęło i znikło wewnątrz kościoła.

— A co? od drzwi powracając, zawołał pan Porfiry, albowm przesadzał?

— Panna ładna! rzekł Zmora, matka ma poważną powierzchowność, ojciec trochę śmieszny, przypomina kupca! a taki uśmiech dobronuszny! pojąłem zaraz jak go Sulimowski ociął.

Jaś Paucer dodał kiwając głową:

— Panua śliczniutka, ale to dziecko prawie; co za pańskie przybory, powozy, ubrania... i ten młody panicz... ma bardzo przystojną minę.

Hubka tylko pomruknał:

— Worek musi być tłusty!

Jeszcze raz rzuciwszy okiem na konie, ludzi i karety, na której herbik Gozdawę dostrzegł Zmora, wszyscy się ruszyli do kościołka... Tu także wuijście państwa Balów wielkie zrobiło wrażenie, ciągle się oglądano na drzwi, a klask z bata i szelest u wuijścia, Hurkotów i Dankiewiczów obrócił mimowolnie... Pierwsi mieli uśmiech niespokojnego szyderstwa na ustach, drudzy wyraz chciwej ciekawości.

Pani Balowa przywykła w mieście poszukać sobie bliżej ołtarza spokojnego kąta do modlitwy, wprost minawszy ławki i nie zaglądając nawet do nich, posunęła się aż do kratki oddzielającej prezbiterjum i tu z córką uknęła, Bal, z resztą męzkiego towarzystwa, wsnuł się na ostatnie miejsca, milczkiem i po cichu...

Nic w tem wszystkiem nie było nadzwyczajnego, ale Dankiewiczowie i Hurkoty żywo szeptać zaczęli.

— Poradziła sobie, rzekła z gniewem podsędkowa— wielcy państwo! nie dobre im ławki, zostawują je dla nas, sami się aż pod ołtarz cisną! Nie raczą mieszać się z nami biedakami.

— Przecież widzieli że tu jest miejsce, odezwala się pani Dankiewiczowa z domu Kościńska... podobalo im się być na przodzie...

— A co za stroje! co za atlasy i koronki!

— Ubrały się umyślnie do kościoła żeby nas wszystkich zakasować, szeptała podsędkowa, fe! fe! próżność taka! i gdzie? w kościele.

— Panienska przystojna, rzekł Dankiewicz...

— Tak sobie... zgrabna kawiareczka, dumnie odpowiedziała żona.

— Uważałaś serce, dodał Hnrkot... że on sam, ten okrągły człowiek i syn siedli w ostatniej lawce? I to nie bez myśli. Ani się posunęli wyżej! to nie bez myśli. Chcą nas upokorzyć widocznie.

Szcześciem ksiądz wyszedł i rozmowy przytłumione zostały śpiewem lub pozorem nabożeństwa, chociaż z książek latały wejrzenia na nowo przybyłych, niespokojne, zazdrośne.

Poczynala się suma, gdy trzask z bata i tentent zajeżdżającego ciężkiego powozu przerwały nważę parafjan, skazanych dnia tego na roztargnioną modlitwę. We drzwiach powstał szum wielki i z powagą wtoczył się hrabia Sulimowski z hrabiną i starszą córką.

Było to zjawisko rzadkie, bo kościółek ten nie miał zwykle szczęścia posiadania tych państwa; widocznie przejeżdżali tylko i wstapili. Hrabia zapięty w długim migdałowym angielskim surducie, wyprężony, im trudniejszy miał pozór tem majestatyczniejszą robił minę, jakby wszystkich hurtem chciał protegować; hrabina była to chuda, trochę garbato się trzymająca kobiecina, skromnie ubrana, w ostatki dostatków, blada i przygnębiona; córka, słusznego jak ona wzrostu, bardzo

przypominająca rysy ojca, ale wcale pomimo to przystojna, śmiała i jak on po pańsku weszła za hrabiną. Znalazły one miejsce przy Dankiewiczach, bo im zaraz ustąpił sam pan, a hrabia oparł się o ławkę i w postawie rozmyślającej, jedną rękę na piersi złożywszy, pozostał przez mszę całą. Służący hrabiów w starej, ale wyherbowanej liberji, przyniósł książki i stanął za panami.

Państwo Hurkotowie, Dankiewiczowie, wszyscy ogłędali się niespokojnie ubiegając o przywitanie hrabiów, dosyć im skąpo wydzielone. Zmora przystąpił do kuzynka i kilka słów poszeptali z sobą. Poczem Sulimowski odwrócił się w stronę pana Bala, uśmiechnął i z niesłychaną uprzejmością kupca pozdrowił.

— Mamo! to ci państwo! szepnęła córka do matki, rzuciwszy okiem ku kratce.

— Zmiluj się, nie przypatruj się im bardzo! szepnęła hrabina.

Jeszcze ksiądz nie wyszedł na kazalnicę, gdy hrabia ze Zmorą korzystając z poruszenia przy wstawaniu, znikli z kościółka tak zręcznie, że nikt się nie obejrzał, gdzie się podzieli.

Oba wyszli na cmentarz i tu oparłszy się o mur, cichą poczęli rozmowę. Pan Teofil Zmora był bardzo bliskim kuzynkiem hrabiego, bo rodzona jego siostra była matką pana Teofila. Dawne ich stosunki majątkowe poróżniły były na chwilę, ale lata zatarły wrażenie i żyli z sobą dobrze, choć niemniej dobrze się znali.

— Cóż tu robisz? zapytał pan Teofil, chyba przypadkiem jesteś w naszym kątku?

Hrabia się uśmiechnął trochę tajemniczo.

— Tak, rzekł, jadę... jadę do drugiego majątku.

— I nie raczyłeś hrabio wstąpić do mnie?

— Jakże chcesz? z przeciwnej strony jadąc?

— Więc wstąpisz?

— Zobaczymy, chciałbym szczerze.

— Między nami mówiąc, podchwycił pan Teofil, mógłbyś mi zrobić wielką przysługę.

— No! cóż takiego? byle nie pieniądze.

— Czyżbym o nie hrabiego prosił?

Hrabia się rozśmiał szerokie usta stulając po swemu. — No! cóż?

— Nie wiem czy mi się na co przyda, ale cóż to szkodzi? Chciałbym z nowemi panami Zakala zrobić znajomość; wolałbym żebyś ty mnie hrabio zaprezentował niż kto inny i jako kuzyna.

Hrabia mrugnął jednym okiem.

— Ha! już masz projekcik?

— A ba! nie taję się z tem, przyszło mi to na myśl, gdym dziś zobaczył panienkę. Czas przecie skończyć!... Sądę że ci państwo. gdyby im się piękne połączenie trafiło, dałoby dobry posag, panna wcale ładna, ludzie przyzwoici.

— Żebyś wiedział co u nich za przepych! dodał Sułimowski kręcąc głową.

— Nie stałoby go wkrótce, jakby zaczęli Zakala kupować.

Hrabia się zmarszczył.

— Na honor nie rozumiem co wy sobie myślicie, to majątek za psie pieniądze sprzedany!

— No, no, dajmy temu pokój. Ale ninie hrabia zaprezentujesz?

— O i owszem, jeżeli nam z kościoła nie uciekną. Wszak jest i syn? spytał cicho.

— Syn? a jest! przystojny młokos i wytresowany. Wtem parsknął Zmora. — Ba! zakrzyknął, macie także myśl jakąś; ho, ho! rozumiem, przywieźliście mu Łucję pokazać.

— Co za idea! ofuknął hrabia.

— Nie zła, gdyby tylko jedno miał Zakale nawet. Ciężkie teraz na panny czasy, a jest ich trzy u hrabiego. Sulimowski westchnął.

— No, mówmy szczerze i pomagajmy sobie po kuzynowsku, kończył Zmora, ty mnie do panny, ja wam do chłopca; mogę się z nim poznać... poprzyjaźnić... przywieść go wam.

Z uśmiechem skrzywionym biorąc za klapę paletotu Teofila, hrabia rzekł mu na ucho: — Dobrze! zgoda! ale sza! rzeczy się dziś powinny tak robić żeby nas poznano, nie żebyśmy się im nastęrczali. Jegomość próżny bardzo, ma się za potomka Balów z Balogrodu, kolligacja z nami niesłychanie mu pochlebi... A bogaty! adwokat mój mi mówił, że go na kilka milionów rachują. Zakale dzieciństwo! pozwolę je oddać w posagu, byleby nam przyszły kamienice w Warszawie.

— A więc hrabio pomagajmy sobie i baczość!

— Nadewszystko nie psuć rzeczy pospiechem, a zręcznie, powoli.

Zmora się nieco zastanowił.

— Ale hrabio kochany, rzekł po namyśle, czyż ci on tej sprzedaży nie ma za złe? pewny jesteś?

— Mój drogi, odparł dumnie Sulimowski, bądź pewien że umiem robić co robię, a on czuje jeszcze żem mu wyrządził łaskę, musi mi być wdzięcznym.



— Prawdziwie to sztuka.

— Chodźmy do kościoła.....

To mówiąc wcisnęli się powoli i stanęli na swoich miejscach, czekając końca nabożeństwa i pilnie oko zwracając na Balów, żeby się im nie wymknęli.

---

## ROZDZIAŁ III.

### Odwiedziny nie bez celu.

Wyjście z kościoła pełne było zamieszania, jedni nie chcieli być pierwszymi, drudzy pragnęli stanąć na cmentarzu i czyhać tam na wychodzących: Hurkotowie wahali się czy uciec żeby niepozornego nie pokazywać powozu, czy pozostać dla postrzeżeń; Dankiewiczową zasiadła hrabina i oddzieliła od męża, niepodobna się było naradzić. Państwo Balowie wprzód jeszcze powiedzieli sobie, że wyjadą ostatni, niechcąc cisnąć się przez tłum i ocierać o nieznajomych sąsiadów: hrabiowie wyszli zaraz, ale stanęli na przesmyku niby rozmawiając z kuzynkiem Zmorą. ale tak się umieścili. by ich minąć było niepodobna.

Kościółek był wreszcie próżny ale cmentarz pełen jeszcze, gdy niemogąc pozostać dłużej, wyszli nowo przybyli... Wymknąć się niewidzianym, jak chciała pani, było niepodobna, a Bał też sobie nie życzył, bo rad był wobec wszystkich powitać hrabiego.

Przechodząc zdjął kapelusz i myślał, że uśmiechem i ukłonem się obejdzie, gdy Sulimowski z powagą ale z wielką razem uprzejmością postąpił wyciągając rękę niemu.

— Jakże mi miło!

— Jakem szczęśliwy!

— *Chère Josephine!* odwracając się do żony, zrobimy znajomość państwa.

— Winnam im podziękować za tak mile przyjęcie mojego męża w Warszawie.

Bał rozplywał się!

— Moja córka! zaprezentował hrabia rumieniejącą ale śmiało z pod rumieńca rzucającą okiem panienkę.

— Mój kuzyn. a państwa sąsiad, Teofil Zmora.

— Pozwolisz hrabio, że przedstawię mojego syna...

Stanisław uklonił się ze spuszczonemi oczyma; rozmowa stała się nienniknioną.

— A pan hrabia tu jakim przypadkiem? zapytał pan Bał.

— W istocie przypadkiem, jadę do dóbr moich... tuż pod Zakalem nawet przejeżdżam...

— Jakżeby był szczęśliwy, gdyby hrabia chciał się zatrzymać u mnie chwilę, ale w domu jeszcze taki nieład. że nie śmiem zapraszać!

— *Qu' en dites vous ma chère!* spytał spoglądając na zegarek Sulimowski, państwo tak łaskawi możemyśmy mogli spocząć, a na noc bylibyśmy u pana Teofila?

— Dla czegoż nie, czas nam wystarczy.

— Z góry tylko za przyjęcie przepraszam, zakłopotana rzekła pani Balowa, ani dom nasz w tej chwili, ani my nie przygotowani.

— *A la fortune du pô!* śmiejąc się zawołał hrabia.

Zmora tak się tu podsunął, że się także zaprosił, a Staś z Parcińskim co tchu polecieeli przodem żeby objad i jakie takie przygotować przyjście.

W jednej chwili towarzystwo się rozdzieliło na żeńskie i męskie, jak to dziś pospolicie się dzieje, po pół godzinie. Hrabina z córką siadły do karety Bałów, a Bal z hrabią do wielkiej, starej oszarpanej laudary Sulimowskich, zaprzężonej sześcią chabetami, w których uprząży część zastępowały postronki najzręczniejsze posztukowane. Prześliczny powóz Bałów wyrwał westchnienie z ust hrabinej, a że porównanie jego z łataną arką JWW państwa zbyt było w oczy, Sulimowski wpraszając Bala do powozu, odezwał się od niechcenia z pańskim uśmiechem :

— A! jak to znać miasto na ślicznej karecie państwa. *Après tout*, ja tak przywykam do starych moich gratów, jak do sukni; co też mi żona głowy namyje, żebym używał angielskiej karety, którą mi mój przyjaciel ambassador... odstąpi; nie mogę! Najszczęśliwszy jestem, najlepiej mi kiedy swojemi staremi dryndulami i końmi się wożę. Człowiek tak przywyka do wszystkiego.

— O to prawda. wtórował kupiec, choć czuł, że łan-dara djable była twarda i rzucała wcale niewygodnym sposobem.

Zmora uczuł potrzebę przyjść w pomoc kuzynowi, uśmiechnął się.

— Dziwnie w tym względzie hrabio jesteś niedbały, takie mając stada, tak przepyszne powozy. zawsze tą żółtą kalafarnią musisz się wozić!

— Co mi tam! machnął ręką hrabia, to mi jedno!

Żozefina się gniewa, a ja się śmieję.

Jechali tak powoli po piasku ku Zakalowi, a tymczasem w plebanji gromadzili się parafjanie wszyscy do proboszcza i przedmiotem rozmowy naturalnie byli nieszczęśliwi przybysze.

Proboszcz był to sobie prosty, dobry człowiek, któremu gawędy o bliźnim nie bardzo przypadły do smaku, ale cóż miał zrobić z gośćmi? Oddawna trwał zwyczaj zapraszania ich na przekąskę, na bigosik lub kielbasę, choć się jak mógł spierał, żeby przy tem nie przekąsywali jedni drugich, głos jego nie bardzo skutkował. Był to w istocie nazbyt dobry człowiek, robili z nim co chcieli.

Hurkotowie i Dankiewiczze, Pancer i Hubka, a do tego inni parafjanie zaraz po sumie znaleźli się w skromnej izdebce, na której w pośrodku stała fiaszka wódki, ogromny półmisek bigosu, masło, chleb i szynka.

— Tylkoż moi drodzy, rzekł proboszcz na wstępie, z góry proszę, dajcie pokój nowym parafjanom, sza!

— Jakto sza! co to sza! krzyknął Hurkot, zjeść ich nie zjemy!

— Poczóż kąsać? rzekł proboszcz.

— I kąsać nie myślím, a żebyśmy o nich słowa powiedzieć nie mieli, to niepodobna.

— To państwo! zaśmiała się z przekąsem podsędkowa siadając. Uważaliście ich, zaraz poszli aż pod sam wielki oltarz!

— Tak, odezwiała się Dankiewiczowa, choć przy nas miejsce było, ale się nie chcieli pospolitować zapewne...

— Im z ciemniejszego kąta to wyszło, aforystycznie rzekł podsędek, tem się bardziej dmie i na jasność lezie.

— O! już! krzyknął proboszcz łamiąc ręce, a wieszcie panie podsędku co oni za jedni?

— A wiem, kupiec warszawski, aui chybi i z naszymi.

— No! a gdyby tak? rzekł ksiądz, czy to u Pana Boga nie jedną, ostatni i pierwszy w jego winnicy?

— U Pana Boga może, ale u ludzi... dodał Dankiewicz.

— Bo ludzie nie potem!! niedobrzy! niedobrzy! śmiejąc się łagodnie odparł proboszcz. Co wam do tego zkađ pochodzą, byle by byli poczciwi.

— Widzisz proboszczu że i o poczciwości nie nie wiemy.

— To nie nie gadajcie! sza! cicho i o czem innem.

— Jak zasiewy podsędku?

— E! co mi tam zasiewy! widzieliście jak byli postrojeni. do kościoła! po co? dla impozycji tylko! dla pokazania...

— Skaranie Boże z temi staremi dziećmi! ruszając ramionami rzekł ksiądz, uparte to jak...

— Księżu proboszczu są damy!

— Dla was to damy, a dla mnie grzeszne dusze i nie więcej!

— To tylko przy konfesjonale, odezwała się nałstawiając pani Dankiewiczowa.

— A jak to zaraz przyłguęło do hrabiów! rzekł utrzymując drgającą twarz dłonią Dankiewicz.

— Słyszę razem pojechali...

— I Zmora, kłaniając się zawołał Pancer, myśli już smalić cholewki do panienki! ręczę za to.

Pan Portiry którego zły humor był widoczny, porwał się od bigosu.

— Co za myśl! rzekl.

— Niestety, ty albo ja to co innego, siwą czuprynę strzepiąc szydersko dodał Pancer.

— Daj pokój żartom!

— Co z was za ludzie, przerwał proboszcz, doprawdy nie rozumiem, jedna familja nowo przybyła w sąsiedztwo, pokoju sobie z nią dać nie możecie.

— To prawda. potwierdził Porfiry. i coś w tem tak godnego uwagi?

— Nadewszystko co za powód do szyderstw?

— Księżę proboszczu, czyż szydzimy? odezwala się Hurkotowa. zbyt bo jesteś surowy, trzeba o czemś mówić, wolimy o nowem jak o starem.

— Widzę że wam rady nie dam. no! gadajcie sobie, ale pamiętajcie nie za wiele! nie przesalać! nie godzi się! nie godzi się... I pocziwy ksiądz choć dał pozwolenie, znów odwracając rozmowę spytał o oziminy, nikt mu nie odpowiedział.

— Widziałeś powóz? szepnęła podsędkowa i konie!

— Jak z igły! rzekl mąż, nie dziw, zwyczajnie do robkowicze!

— A już! już! przestrzegł ksiądz.

— Panienska niczego, pochwalil Hubka.

— Tak, odezwala sie podsędkowa, kawiareczka! bez gustu poubierane, istotnie w stroju i w minie coś żydowskiego.

— Kara Boża z tymi ludźmi!

— Sam jak beczka.

— Półankierek! rozśmiał sie Pancer.

— Nie! jak dobra dynia! odezwał sie ktoś inny.

Proboszcz uszy zatknął.

Tak przeszło całe śniadanie, a co jeszcze uwag zro-

biono w drodze, co ich przywieziono do domu, ile się nagadano przez kilka dni następnych, ile nadowiadawano o Balach od żydów, arędarzy, od rzemieślników, od ludzi, tego by i na wolowej skórze nie spisał.

Stanisław tymczasem kwaśny, bo widok Sulimowskich boleśnie mu przypomniął, co z ich po większej części przyczyny wycierpiała jego Konstancja, pędzić musiał przodem do Zakala gotując dla nich przyjęcie. Nie pojmował on tej zimnej bezczelności, z jaką hrabia w oczach całego świata, widzącego krzywdę którą im wyrządził podstępna sprzedażą, zdawał się jeszcze natrząsać z oszukanych, nie przypuszczając żeby się ośmielili posądzić go nawet. Parciński zagryzł usta tłumiąc uśmiech szyderski.

— To nie bez kozery! rzekł do Stasia, miejcie się państwo na baczności, albo chcą pieniędzy pożyczyć, albo na coś jeszcze większego kroją...

— Co do mnie, odparł Staś, sędzę że to tylko zręczny niiby sposób pokazania, że kiedyśmy w przyjaźnych stosunkach z niemi, nie czujemy się pokrzywdzonymi.

— A! i to być może, ale czyż hrabia dba tak dalece o opinią?

Co najgorszego widział w tem Staś, to że ojciec chwycony ze słabej strony swej próżności da się zupełnie Sulimowskiemu osiedlać i łapki przed nim położyć.

W Zakalu nie było żadnego przygotowania dla tak dostojnych gości, ale dzięki brykom które w wigilją dnia tego z Warszawy nadeszły i licznym przywiezionym zapasom, objad dał się skleić bardzo przyzwoicie, a jak na wieś aż wystawnie.

W pół godziny po Stanisławie zaszły powozy i nie bez dobrze odegranego westchnienia do cieniów pra-



babki, Sulimowski wysiadł w ganku. Salon przerobiony z czeladni zrobił *furrore*, zakrzyknęli wszyscy z podziwienia, a Bal zatarł ręce z radości... W istocie było tu ładniuchno, świeżo, wdzięcznie. jak gdy kobieca ręka dotknie czego: a wszystko dowodziło zamożności, na której widok wzdychali zazdrośnie Zmora i hrabia, nie pomyślawszy na chwilę, że dostatek nabywa się pracą tylko.

Hrabia jednak, hrabina i piękna Lucja udawali zgodnie, że ten przepych nowym dla nich nie był, zgadywali czego nie widzieli bardzo zręcznie i nie pokazali po sobie ile ich upokarzała wykwintność na przedce urządzonego saloniku.

Rozmowa z panną zręcznego Zmory poszła dosyć raźnie, hrabina była zimno-grzeczną, Lucja poznała się poufale z Lizią i widocznie usiłowała poprzyjaźnić, hrabia mówił o swych dobrach i interesach ciągle grając rolę cztery razy większego niżeli był panna: z panem Balem nieźle mu się to udawało. O zaległościach, o liście mowy nie było.

Ciekawość trzpiotowatej Lizi była zupełnie zaspokojoną, nareszcie miała przed sobą kwiat towarzystwa okolicy, w osobach hrabstwa i ich kuzyna Zmory, a zarzucić nie mogąc kwiatowi temu barw dosyć harmonijnych choć trochę jaskrawych, dziwila się, że w nim woni nie było. Ci państwo byli sztywni, dosyć zardzewiali nmysłowie, usiłujący widocznie wiele rzeczy zgadnąć choć nie wiedzieli, zgadując nawet zręcznie bardzo, ale niemniej uderzała wielka różnica społeczności miejskiej od tutejszej. Pan Bal ile razy go to ukłuło wmawiał sobie, że serca pełne prostoty i uczucia płacić miały za wszystko czego brakło, Lizią nie rachowała

na nie tyle. Hrabianka zdala się jej czem była w istocie, panienką wielkich zdolności praktycznych, doskonale pojmującą życie, ale zawsze zimną i starą, a mało bardzo wykształconą.

Kilka razy usilowała rozmowę z nią podnieść trochę wyżej i zawsze spaść musiała na ton powszedni. Zmora korzystając z czasu, nie tracąc chwili, zbliżał się coraz do panny, usilując zarazem to rzuconem pytaniem, to zaczepką zręczną przyciągnąć Stanisława ku Lucji, szczęściem Staś miał wymówkę, że zastępował gospodarza domu i nie dał się ująć. Kilka razy oko piwne panienki zajrzało w jego źrenicę, jakby z zapytaniem śmiałem, ale odeszło bez odpowiedzi. Hrabia udając że nie nie widzi, doskonale postrzegał i uznał w końcu za konieczne sam się zbliżyć do Stanisława, rachując wiele na swą wymowę, by sobie pozyskać naiwnego młodziana. Takim go sobie bowiem wyobrażał.

Ale pierwszych kilka słów dowiodło mu że tu nie ze starym Balem sprawa. Stanisław w swoim domu był grzeczny, ale zimny jak opoka i widocznie zbyt jasno pojmujący rzeczy. Z różnych stron zaczepiał go hrabia, chcąc słabiznę odkryć, jak mawiał, ale tej achillesowej piety dopytać się nie mógł. Odstąpił po chwili trochę zafrasowany, zamierzając wprzód polecić Zmorce, żeby mu drogę przetrzebił i spenetrował lodowatego przybysza.

Zmora podwajał się, jaśniał wszystkimi przymiotami umysłu, serca i ciała, które miał i których nie miał. udawał młodego, entuzjastę, dowcipnego, ożywionego, a że Lizia znudzona samotnością, rada była jego szczebiotaniu, wiele już sobie z tego rokował.

Podano obiad w naprędce oczyszczonym pokoju pana

Bala, z którego sprzęty wyrzucono, a że Staś z trochę próżności chciał wystąpić, przepych zastawy, wykwinność kuchni, musiały uderzyć gości. Słudzy uwijali się przedziwnie i jak to najczęściej we wsi się trafia, nie ogólnej harmonji na ten raz nie przerwało, a żaden wypadek nie zasmucil gospodyni. Bal był zupełnie szczęśliwy, przyjmował hrabiów, był za pan brat z niemi, raz nawet wyjechał trochę z Massagetami, z Justynjanowym komendantem, i jakimś podkomorzym Sanockim. Hrabiowie zdawali się w przedziwnych humorach, choć humor ich był po większej części nadrabiany.

Po objedzie już widać ukartowana rozmowa wtoczyła się na wiejskie życie, towarzystwa, stosunki.

— Nie wierzysz pan, rzekł hrabia z tonem swoim zwykłym, co za nieszczęście jest dla ludzi dobrze wychowanych, pewnej towarzyskiej sfery, gdy żyć nie mają z kim. A wieś, to istna pustynia! Oddawna żona moja domaga się odemnie żebyśmy w mieście zamieszkałi, lecz ja utrzymuję, że przedewszystkiem obowiązki! W istocie wielkie dobra wkładają wielkie ciężary. musimy pracować nie spuszczać się na nikogo. ja z kolei urządzam jedno po drugim. Nie sprzedalbym nawet, przyznam się, Zakala, gdyby nie przekonanie, że mimo trudy, życia mi na uregulowanie jego nie wystarczy. Ale wracając do towarzystwa, przekonasz się pan, że z tej strony wiele na wsi braknie.

— Jeśli mi się jak dotąd powodzić będzie, grzecznie odparł Bal, pewnie na to narzekać nigdy nie potrafię...

— Traf chyba zbliży ludzi, ciągnął dalej hrabia, ale codzienne powszednie stosunki najczęściej jeśli nie gorzkie, to ekliwe.

— O! to prawda, dodała hrabina, niemając co powiedzieć.

— To też, rzekł Sulimowski, nie uwierzą państwo ile nas cieszy ich przybycie w nasze strony.

Bał sklonił się, a gdyby uchodziło. byłby go uściśnął.

— Ludzie pewnej sfery, dodał Bracibor podając protekcyjnie rękę kupcowi, powinni się zbliżać i żyć z sobą. Sulimów nie jest tak daleko... nie potrzebujemy powtarzać że szczerze zapraszamy państwa.

Hrabina z uśmiechem wystudjowanym i uściśnieniem rąk *à l'anglaise* powtórzyła toż samo pani Bałowej: poczęły się sowite a ze strony pana Bała łzawe niemal podziękowania, w końcu formalnie zaproszono na jakąś niedzielę.

Stanisław uklonił się z daleka, wcześniej sobie zapowiadając że zachoruje w porę.

Hrabia bawil do mroku, bo Brogi pana Teofila były tylko o milkę, zajechać było łatwo, a w dodatku był wołyński kozak i kaganiec, z którymi najciemniejsza noc nie straszna.

Łucja z Lizią i Zmorą usilowali wciągnąć Stanisława w rozmowę, w zabawę, ale napróżno; ze spuszczoną głową, z niechęcią ciężko tłumioną, złożyłwszy ręce z rezygnacją, stał opodal w oknie i odstrychał się od nich.

Podano herbatę, zaszły konie i najczulsze nastąpiło pożegnanie, a Bał z odkrytą głową mimo wieczornego chłodka, co do nogi wszystkich do landary powsadzał, nie szczędząc upadania do nóg i ucałowania rączek. Kozak ruszył, za nim rodzina Braciborów, wiodąc za sobą kuzynka najszcześliwszego ze wszystkich, bo już wolny przystęp do Zakala mającego.

Nie potrzebujemy tłumaczyć że kuzynek ten hrabiów,

urodzony z Sulimowskiej, bardzo wpadł w oko pannu Erazmowi. który w wielkiej tajemnicy powiedział sobie nawet cichusieńko: Gdyby Lizia chciała! Co się tyczy hrabianki, myśl jego nie podniosła się tak śmiało, by przypuściła nawet coś dla Stanisława. W pokorze ducha takiego szczęścia nie śmiał on nawet wyglądać, chociaż zręczny hrabia kilka razy mu napomknął w pustej rozmowie po obiedzie:

— Mam trzy córki, żadnego syna! mógłbym być bardzo wymagającym w wyborze partyj dla nich, ale byle się uczciwy człowiek trafił a dobrze wychowany, na nic zważać nie będę. Stare przesady codzień upadają! Pan Bal który nie zwał wcale przesadą swego szlachectwa, nie wiele zrozumiał tego wykrzyknika, zwłaszcza z ust Sulimowskiego nie wziął go do siebie.

Najciekawszą może rzeczą w życiu powszedniem nie są spotkania ludzi z ludźmi, ale sądy które wywołują. Ich rozmowa, wejrzenia, obejście są zawsze mniej więcej — komedyjką i czem innem być nie mogą; dobrze gdy ten akcik niewinny tylko a wesoly, prawda odkrywa się dopiero w monologach, djalogach i trylogiach pomiędzy swojami. Pilny badacz przez formy towarzyskie wyczyta zawczasu i odgadnie myśli i wyrok, jaki ma zapaść za chwilę, ale nigdy tak dobitnie ich sobie nie skreśli, jak się one same rozwijają.

I tu nad odwiedziny ciekawszą była rozmowa w saloniku i uwagi w karecie. Bal chodził zacierając ręce, podnosząc kołnierzyki, nuciąc piosenkę, marząc widocznie; Lizia siedziała smutna pod piecem, pani Balowa wdychała w oknie, Stanisław czytał, chmurny jak noc.

— No cóż powiesz Ludwisin, odezwał się Bal do żony... prawda... panowie! Jaki to nakład, jak u nich

wszystko technie arystokracją dobrego tonu!

— A! mój pocziwy Erazmie. odpowiedziała żona, ty często masz talent widzenia tego czego nie ma. Czy i ich powozy i konie i ludzie głodni i suknie wyszarżane i ton wyblakły tak ci się bardzo pańskimi wydały?

Pan Bał podskoczył, plasnął w ręce, krzyknął z podziwienia i cofnął się.

— I ty to mówisz?

— Bom wcale nie oczarowana.

— Przyznasz że hrabiua...

— Nie przeczę jej wielkich przymiotów, ale zdala mi się zupełnie pospolitą postacią.

— Pełna dystynkcji!

— Mój Erazmie! Co ty zowiesz dystynkcją ja powiem przesada.

— Uprzedzenie!

— Uprzedzenie!

— Lizi, a śliczna Lucja!

— A! kochany papo, nie rachuj mnie jako sprzymierzeńca... to może być bardzo miła i dobra panienka... ale wiele więcej się spodziewałam po kwiecie tutejszych towarzystw.

— Wam się w głowach poprzewracało! wybuchnął pan Bał prawie z gniewem; dla tego że ja kocham wieś, wy mi robicie na przekór. Jakto? Lizia nawet! Stanisław stoi jak mruk, ale jemu się nie dziwuję. Pani spełnia obowiązki gospodyni jak z musu, Lizia półgębkiem się bawi; zamówiliście się na mnie żeby mi życie zatruć!

Pierwszy to raz z takim gniewem od czasu przybycia na wieś wybuchnął pan Bał, wszyscy umilkli;

sposztrzegł się że za daleko zaszedł, popatrzał po żonie i cōree milczących pokornie i wyszedł żywo z pokoju.

W karecie na promie już poczęły się powoli uwagi i wyroki.

— No! jakże ich znajdujesz? rzekł hrabia do żony.

— Jacyś dobrzy ludzie.

— O sam! dobry człowiek! dobry człowiek! z przyciskiem powtórzył Sulimowski, ale sama zdaje mi się pełna rozsądku, a Lizia...

— Panieuka, przerwała Lucja, mogłaby być miła, ale w obłokach ciągle. nie umiałam dla niej dobrać rozmowy... widać że ma talenta, przepadała za muzyką, maluje, artystka, literatka. I Lucja rozśmiała się trochę.

— Nie sądź jej tak ostro. przerwał ojciec, w ich położeniu trzeba tego wszystkiego żeby znaleźć meża... Zmora już podobno zaszlapał.

— Che! che! rozśmiała się hrabina, trochę dla niej za stary!

— Ale nie! byle umiał rzeczy prowadzić, oddadzą mu ją chętnie, znam ich.

— Przepych nieprzyzwoity! znać w tem parwenjuszów!

— Co do tego masz słuszość, Żozefino, potwierdził hrabia, ale nie każdy może tem zgrzeszyć... Uważałaś srebra?

— Uważałaś objad? a nie był przygotowany, bo wie-dzieć nie mogli.

— Co za salouik! odezwala się Lucja.

— Już to bez gustu, przerwał ojciec, nadto fraszek, nadto ozdób, nic starego, żadnej pamiątki. No! a pan Stanisław! Ten choć wielki mruk i dziezek. *a l'air très comme il faut.*

Spojrzał na córkę, Łucja patrzyła przez okno na gasnące iskry kagańca rozsypane po drodze.

— Nudny! szepnęła...

— Powierzchowność dobra, rzekł hrabia. I nie byłby może nudny, gdybyś ty Lucjo trochę była sobie pracy zadała przyciągnąć go.

— A to mi na co? żywo ruszając ramionami, spytała śmiało hrabianka.

— Ba! ba! kto to wie!

Matka milczała, wjechali w dziedziniec Brogów.

---



## ROZDZIAŁ IV.

---

### Odwiedziny w Sulimowie.

Dom w Zakalu choć wielkim kosztem i z niemałym utrapieniem, kończył się bardzo szybko, gniewał się pan Bał, że to jak w mieście na zawołanie i za swój miły grosz ani rzemieślnika dobrego, ani potrzebnych przyborów mieć nie można, ale go w zapędach uśmierzało uczucie jakie dla wsi poprzysiął.

Niestety! była to chwila, w której sielskie obrazy nie najpiękniej wyglądały, ta u nas tak odznaczona wybitnie pora jesienna, która powinna być mieć osobne dla siebie nazwisko. Jeśli Francuzi piątym elementem nazwali błoto, które poznali w 1812. roku po raz pierwszy w całej jego rozciągłości, potrzeba żeby i tę piątą czy szóstą porę roku ktoś także nacechował właściwem imieniem. W istocie, nie mamyż my szczęściu części roku wbrew wszystkim kalendarzom, które tylko o czterech mówią. Pomiedzy zimą a wiosną prawdziwą, między jesienią a zimą, te chwile środkujące, tak do

przebycia ciężkie, tak trudne i długie, mająż uzurpować sobie niewłaściwy tytuł wiosny i jesieni? Co do mnie, nigdybym się na to nie zgodził, ale żem nie-sklonny do tworzenia nowych wyrazów choćby najpotrzebniejszych i wole się staremu obchodzić, zostawiam to neologom z profesji, których nie nie kosztuje ukuć niezrozumiałego dziwoląga.

Nasza jesień późna, gdy się zima nie pośpieszy, ma cechy zupełnie odrobne i wcale nie jest miłą. Co tylko było zieloności znikło, zasiewy jedne pasują się z chłodem i slotą przenikającą; drobny deszczyk, ów sławny nasz kapuśniaczek rozmiękcza ziemię, której już słońce podsuszyć nie umie, wichry bujają po przestrzeniach na których nic ich nie wstrzymuje, ciężkie chmury ołowiane latają po niebie bez blasku i barwy, dymy wloką się po ziemi, las szeleści złowrogo, trzciny suche paplają nad stawami piosenkę jakąś skieletów, a jak zajrzysz w tej pustyni nigdzie stworzenia i głosu. Żaden ptak prócz czarnego kruka i starej wrony nie ożywia zamarłego świata; krakanie ich pogrzebowe tylko słyszeć się daje jak jakaś przepowiednia uieszczenia. Zdaje się, że ziemia tak usnęła, tak skonała, że jej już nawet pocałunek wiosny przebudzić nie potrafi. Zima już ma twarz weselszą, oblicze jaśniejsze, fizjognomią trochę rozmarszczoną, a mroźne jej dnie bywają jak lata późnej, spokojnej starości — wdzięczne po swojemu.

Trzymał się wszakże pan Bał w ciągłym wsi uwielbieniu, wzywając tylko w pomoc wiosny dla nawrócenia niedowiarków, któremi był otoczony.

Żona, syn, nawet Lizia, tak się wsią nudzili, tak się z tem nie ukrywali; uapróżno szukali im zajęć, a

ledwie ukończywszy dom, natychmiast postanowił objechać sąsiedztwo i wejść w życie towarzyskie ogółu. Nie wiedział jakie tam już uprzedzenia, jakie osnuwano spiski na przybyszów.

Trafiało się tak, że zaproszenie do Sulimowa poprzedziło inne wizyty, i państwo Bałowie wyjechali całym domem prócz Stanisława, który pomimo wyraźnej woli ojca został w domu z Parcińskim. Spotkanie w kościele wobec wszystkich i pokucie się z Sulimowskiemi, wyjazd najpierwej do nich, o którym wszyscy wiedzieli zaraz, oburzył nadzwyczaj bliższych sąsiadów. Podsadek nie taił już gniewu, a Dankiewiczowie, osobiwie sama, zżymali się okrutnie. Pan Porfiry który w początku osnuł był zuchwale na przyszłość projekta, zobaczywszy że w Zmorze ma współzawodnika, cofnął się roztropnie, ale żal powzięty zamiast do niego, skierował do Bałów. Wziął ich na zęby z innemi, a że mieszkali blisko, że miał zdawna wprawę w zbieranie plotek i ubieranie ich przyzwoite do ludzi, siał więc niestworzone rzeczy o nowych sąsiadach. Od Supelków do których się starał przybliżyć (ci się dotąd z Zakalą nie wynieśli) baśnie czerpał najszczególniejsze, dodawał im nieco swego i nie było tygodnia, żeby nowej potwarzy w obieg nie puścił. Z Bałów tedy zrobili sobie wszyscy coś tak poczwarnego, rodzinie tak niebezpieczną, tak podejrzaną, że zastanawiano się, czy można ich będzie przypuścić do towarzystwa uczciwych ludzi.

Wyobraźnie pani Supelkowej i pana Porfirego stworzyły powieści, których sprzeczność nawet nie raziła nikogo, tak je chętnie chwymano. Jedni opowiadali że Bał był neofitą, który zrobił majątek na podra-

dach, drudzy że żona jego była faworytką jakiegoś ministra, inni że miał tajemny urząd i tajemne stosunki niebezpieczne dla tych z kim mógł żyć bliżej; żonie, córce, synowi, nie darowano nikomu, Lizię zrobiono niebezpieczną zalotnicą, Stanisława prawie oblakany, dobroduszość Bala podszyto podstępem... Ale któż zliczy potwarze! Z nich zawsze coś przylgnie, jak powiedział Beaumarchais i przylegało też wiele. Śmiejąc się w początku, powtarzano potrząsając głową, aż nareszcie potroszę, potroszę zaczęto przykładać wiarę. Taki był stan okolicy, gdy Balowie wyjechali do Sulimowa.

Zmora uwiadomiony wcześniej, pospieszył na ich spotkanie.

Sulimów, było to coś pośredniego między wsią i miasteczkiem, ojciec i dziad hrabiego Jana, chorujący na państwo, które jeszcze dość było świeże, nsilowali rezydencją swoją postawić na stopnin odpowiednim pretensjom, rnuowali się też w części na mury którym chcieli dodać okazałości dawnej ale opuszczonej wprzód sadybie. Nad moczarem był tam niegdy okop i mur maleńkiego podobno zameczku, z którego w końcu XVIII wieku zrobiono piętrowy pałacyk dodając dwie długie murowane oficyny po skrzydłach. Stara brama wjezdna przerobiona została nieco i zamykała dziedziniec od strony wioski. Oprócz tego wysadzili się Sulimowscy na ogromne nieodpowiadające potrzebom mury stajen, wozowni, spichrzów, kaplic, na austerję paradną stojącą pustką w trzech częściach, kościół, cerkiew i t. d.

Wszystko to razem wzięte z daleka nadawało wiosce pozór miasteczka, ale za zbliżeniem się smutny

przedstawiało widok. Murów tych utrzymać porządnie było niepodobna, waliły się, opadały, pustoszały, okna w nich zabijano deskami, dachy gontowe zatykano słomą, ściany porastały zielenią, a obalone tyki stosami leżały na ziemi. Kościół i cerkiew jedne jeszcze jaśniały calsze i przedwiejsze, reszta była opuszczona zupełnie: hrabia mówił wszystkim że mając zamiar zająć się restauracją budowli na wielką skalę, nie chce ich tknąć, aż wówczas gdy się zbierze na odnowienie ich z gruntu. Nie mówiąc już o austerji, której mury trzymały szkarpy i podstawione dyle. sama brama przed palacem i ów palacyk w najśmieszniejszym były stanie. Tu i ówdzie znać było rozwałony kawałek i niby coś dolepionego, ale budowa była podobniejsza do pustki niż do ludzkiego, cóż dopiero pańskiego mieszkania. Dach na niej przegniły był zupełnie, pierwsze piętro nie zajęte prócz pary pokoiów gościnnych, na dole mieścili się państwo, a dwór w oficynach. Dziedziniec z przyległościami nie lepiej był utrzymany. Sprzeczały się wszędzie resztki zbytku z początkami niedostatku i dowodami uieladu.

Wewnątrz jednak kilka głównych pokoiów wcale jeszcze były okazałe, stroily je dosyć zręcznie nagromadzone i ustawione piękne niegdyś dawne sprzęty, portrety przodków i skoliżacouych familji, stare obrazy, zwierciadła w ramach srebrnych, obicia spłowiałe ale umiejętnie pozakrywane na zranionym gorzej miejscach, pamiątki Stanisławowskiej epoki, w której wzniosła się Sulimowskich rodzina.

Salon i gabiet szczególnie jeszcze zdradzały możność dziadowską. dalej już coraz lichsze były sprzęty i niedbalej utrzymane pokoje. Jadalnia na nowo po-

bielona tylko miała stół wielki i krzesła z trzciny plecione, a przechodnie pokoje nagie się wydawały. Na przyjazd jednak Balów przystrojono jak było można wszystko co było widoczniejsze; a że hrabia szczególnie chciał zrobić wrażenie pamiątkami rodu, powyciągano z kątów najodrapańsze nawet starzyzny.

— Będę w to bił, rzekł w duchu Sulimowski, że brzydzę się wszystkim nowem, że ukochałem co mi dawno przypomina czasy. Wszakże mógłbym w istocie mieć taką fantazję?

Kilku godzinami przed przybyciem gości oczekiwanych, dla których apartament przybrano na górze, właśnie gdy hrabia sam, gdyż on był niedołączną głową domu we wszystkim, zbierał i liczył srebra mające się użyć na stół, nadjechał pan Teofil Zmora.

Kuzynkowie przywitali się poufale i hrabia wziął zaraz na następ do swojej kancelarji krewnego. Pokój ten położony od ogrodu, ciemny, w największym nieładzie zawsze, miał kilka fotelów okrytych z poręczami płóciennym pstrem i ogromną sofą wyleżaną i wysiedzianą, z ciemną w głowach skórzaną poduszką. Była w nim fajkarnia, stół zarzucony papierami, archiwum w wielkiej czarnej szafie, a u drzwi prosta karafka z wodą na drgającym stoliczku z brązową galeryjką.

Jak wszędzie tak i tu czuć było stęchliznę, woń właściwą Sulimowskiemu domowi, która zapewnie z niezamieszkaney góry pochodzić musiała, ale przejmowała najskrytsze jego kąty.

— Słówek nim przyjadą, rzekł hrabia siadając na sofie, muszę cię uczyć kochany Teofilu...

— Jestem na usługi...

— Gdy przyjdzie do oświadczyn z twojej strony, do

interczyzy i kontraktów, odsłużę...

— O! to jeszcze daleko! z usmiechem odparł pan Zmora.

— Co do mnie, między nami mówiąc, zawołał hrabia, musze, są pewne powody... później ci to objaśnię, ale dość że mi wypada przyspieszyć, jeśli co ma być z młodym Bałem. Dawałem już do zrozumienia staremu, że córki moje nie będą zbyt wysoko szukały i sięgały... ale głowa tupa... nie śmie nawet pewien jestem przypuścić, żeby Sulimowska poszła za kupczyka. Ba! ba! Inne czasy! inne czasy! księżęta szukają kupców, hrabiankom wypada iść za kupców! Na to nie ma rady! Otóż, gdybyś ty mój Teofilu, tobie to łatwiej przyjdzie, dał staremu jasno i wyraźnie do zrozumienia, ale zręcznie, z daleka, konfidencyjnalnie, tak, jakbyś się tylko domyślał.

— Rozumiem, rzekł Zmora, potrafię ci usłużyć, jednakże pozwól sobie powiedzieć, że to powoli prowadzić potrzeba.

— Ba! gdyby nie pewne okoliczności, tajemniczo rzekł hrabia trąc czoło... Dowiadywałeś się czy będą oni?

— A jakże! posyłałem szpiega do Supelków, wszystko na dziś było w pogotowiu, słyszę tylko Stanisław nie miał jechać; ojciec go zmuszał, napędzał, ale nie nie pomogło.

— O! toś mi złą zwiastował nowinę, rzekł hrabia, ale mijam to, ty zawsze swoje staremu powiedz, o panicza mi nie idzie, będzie musiał, byle ojcu myśl tę poddać.

— Panicz nie zdaje mi się łatwy wcale.

— Dotąd go nie rozumiem, ale ojciec rej wodzi, byle

on się rozpalil . a sztuka zapalczywa, o młodego nie stoje..

— Tak, a jeśli nie będzie miał do Lucji przywiązania?

Uśmiech Mefistofelesa, z tą różnicą, że w nim głupoty i zarozumiałości daleko było więcej niż djabłom mieć wypada, rozsunął jeszcze więcej niż zwykle usta Bracibora.

— Przywiązanie! rzekł szydersko, mówisz o tem jak gdybyś (między nami) nie przeżył czterdziestówki na świecie. Człowiek się przywiązuje łatwo, zapomina prędko, a grosz i chleb przedewszystkiem. U mnie przodem idzie rachunek, za nim przywiązania ile ich jest... Zresztą młodzi oboje, przywiązanie się znajdzie, a w małżeństwie, kochany Teofilu, nie wiem co lepszego, czy ta miłość co się później znaleźć może, czy ta z którą idziemy do ołtarza, a bez której już często od niego odchodzimy?

Cały ten wykrzykunik filozoficzny wyrzekł hrabia tchem jednym, zatarł dłonie i rzekł cicho:

— No! pamiętaj! ręka rękę myje. I pomnij że pośpiechu mi trzeba.

Kończyli rozmowę, a hrabina ubranie swoje i córki, gdy państwo Balowie nadjechali. Sam jakkolwiek trafnie po większej części sądził, gdy go myśl wcześniej zawzięta nie oślepiała, zobaczył tylko wspaniałe mury, feudalną bramę, pałac wielki i ruiny. Nie bez bicia serca nawet wysiadł z powozu i wszedł do ogromnej sieni, w której już trzech ugalonowanych czekało lokajów, a z tych dwóch było improwizowanych z kuchtów. Z czwartego zrobiono kamerdynera, dając mu stary frak pana i białe perkalowe rękawiczki.



W pokojach, do których wprowadzono ich, nie zastali nikogo. Sulimowski umyślnie wstrzymał się z wyjściem dla pewnego tonu, hrabina zastosowała się do woli męża, a Lucja dowiedziawszy się że nie ma Stanisława, wcale nawet wychodzić nie miała ochoty.

Mieli więc czas goście obejrzyć salon istotnie ciekawy, rzucić okiem na portrety nim gospodarstwo wystapili. Bał z rozczeniem prawie poglądał na wygolone głowy komponowanych podobno Sulimowskich z przed Jagiellowych czasów i wzdychał mówiąc w duchu: Mielibyśmy i my takie drogie pamiątki, gdyby się to kalwiństwo do naszej familji nie wkradło!

Ukazała się nareszcie pani hrabina z córką, strojna, pewna siebie, chłodna i umiejąca dać uczuć samym ruchem. że się za wyższą uważała. Hrabia przyskoczył z udanym pospiechem, z serdecznością wielką, wpadł do salonu, i po chwili rozmowy spytał o Stanisława zaraz.

— Prawdziwiem wdzięczem hrabiemu za pamięć o moim synu, bardzo chciał służyć, ale trochę chory...

— O! jakaż to szkoda!

Wziąwszy pod rękę pana Bala, Sulimowski począł się z nim przechadzać, starsze panie uśmiechając się gwarzyły półgębkiem, kryjąc napadające je ziewanie, panny poszły do kątku gdzie stały kwiatki, Zmora przybliżył się do nich. Zapomnieliśmy dodać, że wszystkie trzy córki hrabinej pokazały się tą razą, Lucja w lokach i już emancypowana, a dwie młodsze, acz z nich jedna była już co się zowie dorosłą, w krótkich sukienkach, w białych majteczkach i niby dzieciaki.

Wieść chodziła że starsza zaczynała rok trzynasty (którego od lat czterech skończyć nie mogła), a młod-

sza jedenasty (i ten szedł jej jakoś ciężko; są lata tak do przebycia trudne!). Z niemi wyszła także stara Szwajcarka z płastrem na jednym oku, bardzo pokorna, co mogło dowodzić że była gdzieś wprzód kucharką nim tu została guwernantką. Zwano ją madame *Schmidt!*

Słudzy zaczęli się krzątać około herbaty oddawna już przygotowanej, a stary hrabia bawił tymczasem Bała, udzielając mu niektórych potrzebnych wiadomości.

— Wątpię, mówił, żeby się panu Sulimów podobał, boi mnie że ma tak pozór opuszczony, ale dałem sobie słowo nie tknąć tych murów, aż gdy je będę mógł z gruntu odnowić... Spodziewam się to rozpocząć w roku przyszłym. Dotąd procesa, urządzenie majątków zbyt rozległych nie dały mi się wziąć do tego.

Po chwilce nastąpiło inne tłumaczenie:

— Moja żona (jak widzimy wiele się tu rzeczy składało na żonę, która całkiem nieznaczącą grała rolę, ale kłaść na siebie dozwalała co się podobało) moja żona nie raz mi głowę durzy, żebym wewnątrz nasz pałacyk świeższą modą urządził. Ale ja mam takie do przeszłości, do tych sprzętów, do starych nawet gratów przywiązanie, że nie tknąć nie daje... To moja fantazja! nie lubię rzeczy nowych! Brzydzą się tem co mi nie przypomina uic.

Latwo pojąć że pan Bał wszystkie fantazje hrabiego pochwalać musiał, chwalił nawet niektóre pokażniejsze graty, a Sulimowski zaraz dodawał:

— Jest to krzesło mojego stryja biskupa... jest to stół mego stryja kasztelana... jest to parawanik klejony ręką babki mojej, księżniczki Szujskiej i t. p.

Bał w końcu nie śmiał już prawie sięgać na tych relikwiach improwizowanych, jak wiele rzeczy dnia tego.

Herbata odznaczyła się więcej saską porcelaną, o której opowiadano historją, bo miała być darem Poniatowskiego, srebrami staremi, a i do tych wiązały się tradycje, niżeli zapachem i smakiem. Znać było po ciasteczkach i śmietance, że hrabina nie gospodarowała, a hrabia do kuchni chodzić nie miał czasu. Pan Bał jednak znalazł to wszystko wybornem, tak był rozczulony, wzruszony, nieszczęśliwiony.

Wieczera, jak się domyślać łatwo, wywiodła na scenę resztę sreber jakie gdzie były, ale smaku trudno w niej było dopytać. Do tradycji bowiem należało u hrabiego że cały dwór miał złożony z pijaków, ci że się go obawiali wstrzymywali się trochę gdy był sam, a przy gościach dopiero poczynali hulanke, wiedząc że Sulimowski wyjść i śledzić ich nie może. Dymu i węgli w potrawach było wiele, roznosząc półmiski oblano gości i gospodarzy, ale kto by tam na te drobnostki uważał!

Państwo Bałowie odprowadzeni zostali na spoczynek po wschodach, które dygotały pod ich nogami, na pierwsze piętro, gdzie pozaklejano okna wprawdzie, ale chłód i wilgoć były nie do wytrwania.

Lizia śmiejąc się upadła na kanapę.

— Co ci jest? spytał surowo ojciec, który miał już odchodzić.

— A! papo! daj mi się naśmiać z twoich hrabiów.

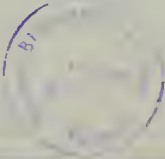
— Oszalała dziewczyna!

— Papo, jeśli wszyscy panowie tutejsi są w tym rodzaju.

— Cicho na Boga! łamiąc ręce zawołał Bał.

Pani Balowa siedziała ze smutnie spuszczoną głową.

— Liziu! ja cię nie poznaję! rzekł ojciec, dom tak szanowny.



— O! a tak brudny! odparło dziewczę.

— Oszalala! oszalala! szepnął przelekły ojciec, bojąc się, żeby jej kto nie podsłuchał.

— Mijam to papo, śmiejąc się na nowo i klaszcząc w dłonie odezwała się Lizia, ale czy uważałeś, że kuzynek naprawdę myśli o mnie? Cały wieczór prawił mi grzeczności, nie mogłam się wstrzymać od śmiechu, musiałam mu się wydać bardzo wesolą.

Bał osłupiał i aż się wstrząsł z gniewu.

— Ale moja panno! zawolał, coś w tem tak śmiesznego, kuzyn hrabiego, bardzo miły, pełen zalet człowiek.

— W dodatku trochę lisy i dobrze stary.

Matka podniosła głowę.

— Uważałam to także, i nie bez jakiegoś niepokoju, że i u nas i tutaj ciągle jest przy Lizi: to mi się nie podoba.

— Mówmy szczerze, odezwał się wreszcie Bał, coś pani także możesz mieć przeciwko temu?

— Powiedz mi co jest za tem? szczerze i poważnie rzekła żona; ludzi tych nie wiele znamy, a z tego co wiemy, nie bardzo możemy szacować; wrażenie jakie oni na mnie robią, jest przykre; nie czuję tu ani kropli, ani odrobiny szczeroci, wszystko u nich kłamane: możemyż pomyśleć nawet o takim związku?

— Widzę, odparł pan Bał, że pani jak zawsze nie wierzysz ludziom, przywykłaś ich posądzać... Ale to wieś! to wieś nie miasto! tu serce na dłoni! tu jeszcze wiek prostoty i niewinności! Czego nie widać w nich od razu, tego nie ma; potrzeba sobie wyperswadować!

— Mój kochany Erazmie, tyś dziwnie zaślepiony.

— Moja Ludwiko, tyś okrutnie uparta!

Lizia wstała z kanapy.

— Niech ich sobie papa kocha jak chce, odezwiała się, rozczuła nad niemi, ale pozwoli mi powiedzieć, że przynajmniej dla miłości ich hrabstwa nie pójdę za jakiegoś tam starego kawalera.

— A gdybym rozkazał! przywiedziony do niecierpliwości wybuchnął kupiec.

— Pocałowałabym papę w rękę, w nogę, w czoło i takbym się rozplakala, że nie miałbyś serca mnie zmuszać.

— Ha! rzekł kupiec machając ręką, róbcie sobie co chcecie! nic jeszcze nie ma, a już fochy! dajcie mi pokój! Dobranoc!

---

## ROZDZIAŁ V.

---

### **Grube sieci. niespodzianka. odwiedziny.**

Nazajutrz z małemi bardzo odmianami powtórzyło się przyjęcie dnia pierwszego, a po obiedzie wyjechali państwo Bałowie. Zmora który ich godziną wyprzedził, bo polecenia hrabiego nie mógł spełnić w Sulimowie, pod pozorem zepsucia czegoś w bryczce, zatrzymał się w karczmie o mil parę i tu czekał na pana Bała. Obračował on, że tu staną zapewne i postanowił nie naprzykrzając damom, wziąć na bok kupca, by zręcznie podrzucić mu myśl tak pilnie potrzebną.

Że między Sulimowem a Zakalem nie było porządniejszej gospody, a dwie mile piasku koniecznie wytchnienia dla koni potrzebowały, powóz istotnie się zatrzymał, panie wysiadać nie chciały, pan Erazm zobaczywszy Zmorę, kazał sobie otworzyć i poszedł do niego. Pan Teofil rozłożył się zupełnie w gościnnej izdebce i na podróżną zapraszał herbatę; zdała się ona bardzo po obiedzie, który nbawił oko, ale nie nasycił żołądka. Usłużny kawaler pobiegł do karety spytać panie czy

nie pozwoliła jeśli nie prosić na herbatę, to ją sobie przysłać do powozu, na co ból głowy pani zmusił ją przysłać, choć bardzo uie miała ochoty przyjmować tych grzeczności.

Tak zyskawszy chwilkę czasu Zmora użył jej wedle instrukcji.

— Nie prawda, począł, że dom mojego kuzyna bardzo miły?

— O! nad wszelki wyraz! co za ludzie!

— Ludzie! Ja to wiem najlepiej. Sam głowa wielka, objęcie ogromne, czynny jak nikt, rzadkich talentów człowiek, szkoda że się na wsi zagrzebał; sama pełna enót chrześcijańskich, jaka matka! jaka żona! a co za skromność! jaka cichość! rzekłbyś, że nie ma nic za sobą, tak ukrywa się z przymiotami.

— To prawda, machinalnie rzekł Bal i dosyć niezręcznie.

— Córki wychowane nie jak hrabianki, co to będą za gospodynie! jakie żony! I wie pan dobrodziej, choć nigdym o tem od Sulimowskiego wprost nie słyszał, ale widzę ze wszystkiego, że właśnie zdaje się przygotowywać je do takiego losu, jaki im Bóg zdarzy. Nie dumy, nie próżności w tym człowieku.

— Czy to być może!

— Raz pamiętam z żoną się nawet o to posprzeczał, ona bowiem ma trochę uczucia swego rodu... to prawda. Byłem przy tem, zaczęła dowodzić, że wolalaby wydać córki ubogo, byle imię mężów odpowiadało jej wymaganiom. Hrabia wyraźnie wówczas powiedział: twoje córki wyjdą za ucieciwych i dobrze wychowanych ludzi, nie będę na nic patrzył! Wieki przesądów minęły!

— A! a! westchnął kupiec, który żadnego jeszcze

nie śmiał robić zastosowania.

— Gdyby nie bliskie kuzynostwo, dodał pan Teofil, nie dałbym Lucji długo czekać, bo to wyjątek! Nie zliczyć jej przymiotów! dziwnie dobre bo łagodne i bez żadnej dumy, marzy tylko słyszę o cichej chatce szlacheckiej...

— Prawdziwie. Waćpan dobrodzieju zadziwiasz mnie.

— Trzeba ich poznać, rzekł z uśmiechem Zmora; jaka to szkoda, że pan Stanisław chory, przyznam się panu dobrodziejowi... ale na co mówić! Gdybyś pan się domyśleć mógł co mi po głowie chodzi ciągle...

Bał rzucił nań okiem zdziwionem.

— Na miejscu pańskim, szepnął Teofil, czemuby nie sklonić pana Stanisława, żeby spróbował szczęścia?

Sieć zastawiona w ten sposób na pana Bała była cokolwiek za gruba, podejrzenie błyskawicą przesunęło się po jego głowie, ale wnet pomyślał, że gdyby rzeczy były ukartowane, robionoby je zreczniej, to go uspokoiło. Niezgrabstwo dowodziło szczerość.

Uśmiechnął się wstając.

— A! panie dobrodzieju! rzekł, mógłżebym pomyśleć nawet o takim związku? Rodzina hrabiów cała oparłaby się temu, sam pan powiadasz; że i hrabia nie jest bez uczucia właściwego dumy familijnej. A szczerze, choć pochodzimy z dobrego starego szlacheckiego rodu, który żadnemu nie ustąpi, bośmy i senatorskie krzesła mieli w familji; ale wszystkim wiadomo, że od lat wielu zamieszkaliśmy w mieście i od pradziada handlem się trudnimy.

— O! któż zważa na te przesady!

Służący przyszedł wezwać pana Bała, bo się ściemniało, kupiec uściskał z rozrzewnieniem Zmorę i spie-



szenie siadł do powozu ale z głową rozmarzoną.

Chwilami przychodziło mu do niej, że na niego zastawiono sidła, to znowu zbijał swe posądzenia i rozczulał się nad ludźmi tak pełnymi otwartości i dobroci... A że nie mógł długo utrzymać nic w sobie, nim dojechali do Zakala, szepnął już żonie na ucho co mu Zmora powiedział w karczemce.

Biedna kobieta poczuła dreszcz przechodzący po sobie i wstrząsła się cała, ręce jej opadły ze strachu.

— Erazmie! zawołała z uczuciem matki, na Boga cię zaklinam, otwórz oczy! Niczegoż dotąd nie widzisz, niczego się nie domyślasz?

— Ba! rzekł z niejakim wstydem kupiec, a ja sam w początku miałem niejakie podejrzenie, ale zważ, czyżby byli tak niezgrabni? Intryganci są zwykle trochę zręczniejsi.

— Ileż to razy udaje się niezgrabność by wzbudzić zaufanie?

— Ludwisiu! na Boga nic-że się nie stało! To są myśli na wiatr rzucone, dodał widząc ją niespokojną, nie jestem tyranem swoich dzieci. Ale sama tylko nważ z drugiej strony, połączenie z takim domem! toby nas od razn postawiło na stopie która nam należy, a którą odzyskać nie łatwo... Balowie wróciliby do dawnej zacności.

Pani Balowa ciężko westchnęła.

Wjeżdżali w dziedziniec, na którym rozruch jakiś widać było i gromadę ludzi stojącą.

— Co to jest? wysadzając głowę, zapytał pan Bal postrzegłszy syna i Parcińskiego w ganku stojących.... czego to chcą ci pocziwi ludzie?

Stanisław się uśmiechnął.

— Nic to nic, maleńka sprawa rzekł Parciński... dowiesz się pan dobrodziej.

— Cóż to takiego? skarga jaka? prośba?

— Jedna z powszednich i codziennych na wsi przyjemności, odpowiedział plenipotent, złapano złodzieja, musieliśmy go kazać ukarać... ci ludzie przyszli za nim prosić.

— Powiem im naukę dobrą i przebaczę, zawołał pan Bal...

— Już ukarany...

— A czegoż chcą ci ludzie? spytał zafrasowany p. Bal.

— Ci ludzie, odparł Parciński mrugając na Stanisława... ci ludzie. oni już nic nie chcą...

Klamstwo było widoczne na twarzy plenipotenty, tak że je pan Bal postrzegł.

— Mówże bo mi prawdę! zawołał żywo, czego chcą?

— Przyszli z wymówkami, z groźbą, z buntem prawie, odezwał się Stanisław ale się tem nie ma co martwić.

Pan Bal zbladł. — A coż to będzie? spytał cicho.

— To są tylko próbki, odparł Parciński, ani się potrzeba dziwować, że w ich położeniu znajdują się ludzie chcący z położenia każdego na ulgę swoją korzystać... Od znalezienia się pańskiego w tej chwili może wiele zależeć na przyszłość... Nie chodzi tu o złodzieja... Było nieposłuszeństwo, były pogroźki, musiałem kazać wziąć winnego i pogroziłem karą. Jest to smutna konieczność! karać nie myślę, ale postrach jest potrzebny... Od tygodnia pańszczyzna tak jak nie wychodzi...

— Głupia ta pańszczyzna! dawno ją powinni skasować! zawołał pan Bal...

Parciński się uśmiechnął.

— Ale mniejsza o to, przerwał Bał, tymczasem ja na ten raz daruję wszystko.

— Jak się panu podoba, ale jutro będzie gorzej.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy.

Wzruszony wyszedł pan Erazm na ganek, ku któremu zbliżyli się wieśniacy zaraz. Wielu z nich było widocznie podpitych a twarze miały ten wyraz dumy, który chwilowo umie przybrać oblicze najdłużej upokorzonych ludzi. Ledwie sklonili głowy.

— Co ja słyszę, rzekł pan Bał zakładając wtył ręce i minę poważną przybrawszy, co to jest, nieposłuszeństwo?

Wszyscy milczeli.

— Ja tego nie lubię! słyszycie Waćpanowie? o! ja tego nie lubię! — i nie zniosę... u mnie tego nie będzie.

— Z pozwoleniem Waszecz (tego wyrazu użył jeden ze starych, nie wiedząc co za grafa położyć). No bo my nie wiemy co z nami będzie.

— A cóż ma być?

— Co ma być? powtórzył chłop skrobiąc się w głowę... my zdawien dawna bojarowali! to były kniaziowskie dobra, myśmy nie robili pańszczyzny.

— Jak to? podchwycił Parciński.

— Pozwól im się wytłomaczyć, rzekł Bał.

— A ot tak, mówił pierwszy, że za kniaziów pańszczyzny nie było to nie! Dopiero to za grafa nastalo, ale myśmy się zawsze opierali, a teraz nie chcemy, ta i robić nie będziemy.

Nowy dziedzic nie wiedząc co odpowiedzieć na to, obrócił się do plenipotenty.

— Jeżeli tak, rzekł spokojnie Parciński, to co innego, macie jak mówicie jakieś prawa...

— A mamy prawa.

— No, to zjedzie sąd, zobaczy i osądzi. To tylko sobie pamiętajcie, że jeżeli się okaże balamuctwo, może być źle...

— Gorzej nie będzie! mruknął jeden.

— Może być i gorzej, odezwał się śmiejąc nieco Parciński.

Chłopi spojrzeli po sobie onieśmieni.

— No! cóż myślicie?

Odpowiedzi nie było.

— Macie wóz i przewóz, odezwał się plenipotent, albo słuchać i mieć opiekę nad sobą, bo to nikt was teraz nie skrzywdzi pod takim jak wasz panem, albo idźcie do sądu, a wówczas zobaczymy. Z sądem żartować nie można; — nieposłuszeństwo nie pójdzie lekko!

Pan Bał uczuł potrzebę dodać:

— Za to wam mogę ręczyć, że krzywdy zrobić nie dam nikomu.

— Ale i sobie także! spiesznie dorzucił Parciński, chwycił za rękę pana Bała i chciał odejść.

— A cóż będzie z tym...? spyтали chłopi, my jego karać nie damy!!

— Złe słowo! zakrzyczał znowu podnosząc głos plenipotent! złe słowo! pamiętajcie żeście to powiedzieli! Byłby pan może ten raz darował, a tak...

Spojrzeli po sobie wszyscy.

— Odeślemy go do sądu.

— Puszczam go ten raz, żywo poczał pan Bał, wiele rachując na swą łagodność, ale niech mi więcej tego nie będzie, bardzo proszę!

Na tych słowach skończyła się rozmowa i gromadka w milczeniu ponurem odeszła, a kupiec nieco spokojniejszy weisnął się do swego pokoju, troska jednak pozostała mu na czole.

— Powiedz mi pan, odezwał się po chwili namysłu do Parcińskiego, wszakże mógłbym zamienić pańszczyzne na czynsze? Wszakże to wszystko jedno, ocenić robotę ich i odebrać za nie pieniądze?

— Dla czegoż nie? odparł z uśmiechem plenipotent.

— Dla czegożbyśmy tego przedsięwziąć nie mieli? zawołał z zapalem pocziwy pan Bał.

— To zupełnie zależy od woli pańskiej, jest to piękny i wielki cel, ale wprzód powiedzieć sobie potrzeba, że pan mu podolasz.

— Ale to obowiązek, jestem właścicielem ziemi, opiekunem tego ludu, spełnić co na mnie spadło.

Mówiąc to tak szlachetny wyraz przybrała twarz jego, że Stanisław pierwszy raz uczuł się dumny swym ojcem, a Parciński uchylił przed nim głowę.

Słowa nie powiedzieli o tem więcej, bo plenipotent znający lepiej stan majątku i moralne usposobienie włościan, nie chciał przestraszać trudnościami.

Nazajtrz wypadło korzystając z dnia pogody i rozpocząć przerażającą odwiedzinę po sąsiedztwie. Pan Bał nie wątpił o dobrem wszędzie przyjęciu, bo nie czuł się do żadnej winy, a w ogóle towarzyszy two wiejskie uważał dotąd za spiżarnią serc pocziwych dusz chrześcijańskich tęgnących ucuciem, za karbiec szczerości i staropolskich cnót dawnych. Po naradzie z Parcińskim wypadło najprzód ruszyć do Debna do podśędkowstwa Hurkotów, nie wiedziano bowiem że tam największa była wrzawa przeciw przybyšsom i stek

plotek najniedorzeczniejszych... Po objedzie tedy zaszły powozy i w towarzystwie Stanisława i plenipotentą wyjechali państwo Balowie. Podśedek który miał doskonałych szpiegów, a srodze był dotknięty tem że Zakale zaćmi splendory Debna, postanowił otwarcie wojnę rozpocząć i nmyślnie z domu wyjechał żeby go nie zastano. Nadaremnie wiec przebywszy kawał najniegodziwszej drogi, trzeba się było od ganku zawrócić, bo i pokoje zamknięto. Ztamtąd na przelaj jeszcze gorsza drożyną nie tak daleko było do Burek gdzie mieszkali Dankiewiczowie. pojechano do nich.

Nie lepsze było usposobienie obojga państwa Dankiewiczów, ale oni plotki dotąd za plotki biorąc, a mając to w zysku, że Zakale strąciło Debno z wysokości, gotowi byli na przekór podśedkowstwn i przyjąć państwo Balów i rozpocząć z niemi stosunki. Sam pan nawet po cichu osnuł był sobie projekcik pożyczzenia pieniędzy, który dojrzewał w jego głowie, ciągle niespokojnej niedostatkiem.

Najniespodzianie jednak wpadli odwiedzający na chwilę w której żaduaby gospodyni rada gościom nie była: pokoje od dawna potrzebowały restauracji, zbierano się na to długo i spodziewając teraz państwa z Zakala, wzięto się do podłóg, do tyneków i. t. p. Wszystkie meble stały w ganku, w sieni, całe domostwo przewrócone było do góry nogami. Widok karety i koczyska w alei do rozpaczys przyprowadził panią Dankiewiczową która dostała mdłości, mężowi odnowił się gwałtownie tyk w twarzy bolesny, słudzy poszaleli.

— O Boże! zawołała z domu Kościńska, na cóżem dożyła tej chwili!

— Jejmość, kochanie! zawołał mąż pocieszając ją,

a sam drząc także. tu trzeba rady a prędkiej... nie ma nie tak okropnego, wszyscy wiedzą że się dom kiedyś poprawić musi.

— Na cóż trafili na ten moment! na co trafili! co ja tu poradzę!

— Do jadalnej sali! do sali jadalnej! nie ma ratunku! krzyczał pan Dankiewicz.

Ale i w sali nie było lepiej. bo krzesła sięgały sufitu jak olbrzymy szturmujące do nieba. na stole leżeli do góry brzuchami wszyscy przodkowie Kościńskich, a w kącie ścisnęły się parawaniki i serwantki obłożone dwoma kauapami...

Wśród powszechnego popłochu zajechała karetą, wyszedł łamiac rece gospodarz, sama pani porządkowała jadalnię. szczęściem Balowie jako ludzie dobrego wychowania umieli zaraz wyprowadzić gospodarzy z kłopotu.

Na widok dobrodusznego uśmiechu pani i Lizi, wstąpiła otucha w serce gospodyni, wszyscy się jakoś rozgościli. i rozmowa ożywiona samym wypadkiem. poszła jak po maśle.

Gospodarzowi tylko jego drganie w twarzy przeszkadzało do podzielenia jej z innemi, zajął się więc cześcią ekonomiczną i pilnował podania herbaty.

Ochłonawszy z pierwszego strachu gospodyni, poważnie i z pewną przesadą jeła zabawiać panią Balową, wdychając ciągle nad tem że tak się to nieszczęśliwie złożyło... Portrety które zdejmowano ze stołu. były dla niej wyśmienitym powodem do wzmianki o Kościńskich... Pan Bal z wielką uwagą słuchał anegdot o dowcipnym pułkowniku stryju pani, który na mil trzydzieści uchodził dawniej za największego żartownisia, chociaż żarty jego nie tyle na dowcipie jak na mistyfi-

kacji polegały; potem o kanoniku, który był bardzo świętobliwym człowiekiem. o łowczym... i t. p.

Nie spodziewała się gospodyni, żeby jej poszło tak łatwo jak zwykle idzie z ludźmi dobrze wychowanymi a dobrego serca, którzy widzą tylko to, co widzieć powinni, mówią co można, a czynią co potrzeba... Sąsiedzi nie przyzwyczaili jej do tak łatwych stosunków: dziwila się i powoli rozweselala.

— To dobrzy ludzie! i nie nie dumu! mówiła w duchu, a tacy jacyś nie trudni! a tak grzeczni!

Dankiewicz rad był także, że pan Bal nie wzgardził jego lekkim wegrzynkiem i wypił go aż trzy kieliszki... słowem odwiedzinę poczętą pod tak złą wróżbą ukończyły się powszechnem zadowoleniem.

Jednym zamachem Bal chciał odwiedzić Zmore, i żonę odprawivszy do domu, wprost ruszył z synem i Parcińskim do Brogów.

I'ie bedziemy opisywali tych odwiedzin, które czytelnik łatwo odgadnie, bo starając się o panne, któż ojca nie przyjmuje jak umie najserdeczniej? Tu elegancja, występ, okazanie zamożności, rzędu, ładu i wszystkiego czego może właśnie brakło, miano głównie na celu. Człowiek zawsze chce się popisać z tem czego nie ma. Voltaire najwięcej cenił swoje nieznanomość matematyki i popisywał się z nią na wypródku z panią du Chatelet.

Późną już nocą wyjechali z Brogów z kozakiem który wiózł przodem kaganiec. choć pan Bal bardzo się od tej grzeczności wymawiał.

— Nie prawdaż, rzekł do Parcińskiego w drodze, choć to pan rzadko komu dasz dobre słowo i ostro sądzisz, wszak pan Teofil miły i gruntownie pocziwy człowiek!



Uśmiechnął się biedny Ezop.

— Mam obowiązek mówić prawdę, odpowiedział kiwając głową, tu może więcej niż kiedy. Miłym jest gdy chce, a pocziwym gdy mu to nie przeszkadza do niczego.

— Nikomu nie darujesz, widzę.

— Znany panu Teofila od dzieciństwa, zestarzał się między nami; w interesie (a wielu ich się dotykałem) jest ostry i niebardzo dobierający środków, panuje nad sobą jak nie wielu, serca za trzy grosze, duma ogromna, chciwość wielka!

— Nie żałujesz farby!

— Chciałeś pan prawdy.

— Ale nie dajżeś mi tylko pan karykatury za portret?

— Spytaj pan innych. Jest to uczeń wuja hrabiego Sulimowskiego!

— A! śmiałybyś i na niego co powiedzieć? to najgodniejszy z ludzi!

Uśmiechnął się znowu plenipotent.

— Chcesz pan posłuchać historii? spytał.

— Chętnie bardzo.

— A więc proszę o chwilę uwagi.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Historja podstolego i zaczepka o dyferencją.

— Był to sobie niedawno, gdyż sądzę że już mu pan Bóg dał niebo, możny bardzo obywatel w chełmskiej ziemi, jak to ją zwano przed laty, nazwę go podstolim...

Tak rozpoczął Parciński, a Stanisław mimowolnie wzdrygnąwszy, powtórzył głosem wzruszonym — podstoli?

— Tak, był to jego tytuł, dodał plenipotent, człek jakich mało, ale nie do dzisiejszych stworzony czasów... Dusza wielkiego chrześcijańskiego uczucia pełna, wiary w ludzi i świat aż do zbytku. pojęcie swych obowiązków, nawet takich które nie u każdego na to imię zasługują, niekiedy przesadzone; w dodatku odważny w młodości, na starość nieopatrny, krew gorąca w żyłach, w sercu kipiątek... do szabli i do worka ręka zawsze gotowa.

Takim go jeszcze pamiętają wszyscy co go znali. Że to był człowiek majątny, jedną tylko mający córkę, dom trzymał otwarty, gościuuy, i ani się opatrzył jak

dobrze fortunki nadszastał, wstyd mu było się cofnąć jakoś z zajętego stanowiska, córkę wydał nie bogato, począł się oszczędzać po cichu, ale nie zmienił trybu życia.

Człowiek ten taką miłość u ludzi, tak powszechny zjednał sobie szacunek, że nie było sprawy, sporn, trudności. którejby nie rozsądzał, którejby u niego nie zapijano i nie zajądano. Nieprzyjaciół cale nie miał... ale któż może powiedzieć że ma przyjaciół?

Podstoli zestarzał tak wśród szalu życia jakiego już dziś nie widać, nie wiem czy prócz godziny spędzonej w kaplicy miał czas kiedy myśl zebrać i rozmierzyć ścieżkę którą szedł... Drzwi się nie zamykały od rana do wieczora, goście płynęli, a jeśli dnia którego ich jakim wypadkiem zabrakło, podstoli okręcał się sutym pasem i uie mogąc już zniesć samotności, jechał w sąsiedztwo.

Wydawszy córkę, nadtraciwszy majątku, nie umiał się powściągnąć; — ludziom owych czasów koniecznie potrzeba było czynnego życia. tworzyli je sobie z czego mogli.

Córka podstolego po trzyletniem pożyciu, poprzeczając męża do grobu o rok, umarła, starzec odchorował śmiertelnie te straty i nie powstał, aż mu pocziwy kanouik D... jego przyjaciel przyniósł na rękę pozostałą wnuczkę sierotę. Lzy które mu z oczów wytrysły i uczucie obowiązku, przywołały go do życia.

Powstał z łoża i pierwszy raz może pomyślał o pracy, o dźwignieniu majątku, o interesach... W takiej to chwili krewny podstolego przez żonę, która była rodzoną siostrą jego, przybył do szwagra... Łatwo odgadnąć że to był hrabia Sulimowski. Scenę którą opiszę,

mam od naczynego świadka, poczęła się ona od uzaleń, od uścisków, od serdeczności największych, starzec który sądził że jego nieszczęście przywabiło szwagra, rozplakał się z rozczulenia.

Jeszcze te łzy nie oschły, gdy gość powstał i odezwał się że miał maleńki interesik.

— Cóż to tam takiego? spytał podstoli obojętnie, sądząc że wzywają go znown aby przewodniczył...

— Chciałem spytać pana podstolego, rzekł naiwnie hrabia, czy nie masz jakiego dowodu w swoim archiwum, że posag mojej żonie został wypłacony.

Stary w początku nie zrozumiał.

— Jakto? rzekł, albow jest kwestja o to?

— Tak dalece kwestja, odparł hrabia, że ja pewien jestem że nie odebrałem go.

Podstoli osłupiał: w istocie posag ten zaraz po ślubie w gotówce oddany został, ale pokwitowanie z niego odłożono; intercyza zaś świadczyła że tyle a tyle było naznaczono... a nic nie dowodziło iż tę kwotę oddano.

— Mój Janie! rzekł podstoli, wszakci to całemu światu wiadomo, że dwakroć wzięliście gotowizną pod poduszkę.

— I ja temu nie przeczę, odparł hrabia, ale to był dar rodziców, nie posag. Gdyby to była suma posagowa, żona moja byłaby z niej kwitowała w mojej asystencji, a ja bym był ewinkował na majątku.

Podstoli słowa nie rzekł, wejrzeniem wzgardy tylko pożegnał przybysza i odszedł.

— To być nie może! krzyknął pan Bal.

— Ja tę historję już słyszałem, poparł Stanisław... i mogę ręczyć że tak było.

— Ale to niegodziwość!

— Pozwól mi pan dokończyć, hrabia napróżno chciał po swojemu, z uśmiechem dobrodusznym wmówić podstolemu, że ma słuszość za sobą, gdyż metodą jego zawsze jest tak robić złe, jakby w sumieniu był przekonany, iż świętą pełni cnotę. Rozpoczął się tedy proces. Podstoli miał przyjaciół i poprzysiął nie ustąpić: szło tu o ostatek mienia, o posag wnuczki, której ojciec własny nie me zostawił. Hrabia znał prawo na palcach, na procesach zjadł zęby, płacił, nudził, a niewinniejszych sędziów otumaniał grając doskonale skrzywdzonego rolę. Ciągnęła się ta sprawa lat kilka, w końcu osądzono, żeby podstoli posag siostrze wypłacił.

Apelowały obie strony, podstoli od dekretu hrabia, że mu nie przysądzono procentów; w drugiej instancji padł wyrok dla hrabiego, zabrano podstolemu nietylko majątki, ale zlicytowano ruchomości. Starzec dumnie wzgardził teraz wszelką powolnością szwagra i z sierotą wnuczką uciekł bez grosza prawie do Warszawy.

— Gdzie umarł, rzekł Stanisław z westchnieniem.

— Jakże ty to wiesz? spytał kupiec.

— Stał w kamienicy naprzeciw naszej i w niej skończył, rzekł syn.

— A wnuczka?

— Poszła służyć, jest teraz u Krombachów przy dzieciach nauczycielką. Mogę zaręczyć, że pan Parciński nic nie dodał, wiele ujął jeszcze, słyszałem tę historję nie z ust panny Konstancji, która mi o tem nie wspominała, ale od najlepiej nawiadomionych ludzi.

Pan Bal się pouro zamyślił.

— Ha! rzekł, jeśli to prawda? człowiek niebezpieczny!

Ale jakże mógł mi się wydać tak dobrodusznym, tak uczciwym i szlachetnym przy sprzeżu!

— O! to były zastawione sidła, w które pan wpadłeś zbytciem szlachetności.

— Ja tu jednak nie widzę, dotknięty trochę rzekł kupiec, w czym mnie mogli złapać?

— Najprzód na cenie majątku, która jest ogromnie przesadzoną, powtóre, wystawując pannę Zakale jako złote jabłko, gdy w istocie kwaśna to dziewczka! Reszta powoli przyjdzie.

Pan Bal był tak uderzony tem co usłyszał, że pozostał milczący i zamyślony aż do domu, a Stanisław ujrawszy jego twarz, gdy weszli do pokoju, czuł się o niego niespokojnym.

Milczenie kupca było nienaturalne, wzdychał, wstrząsał się i widocznie cierpiał w głębi. Walczył z sobą i nie umiał jeszcze ani się poddać rzeczywistości, ani utrzymać w złudzeniu. O! ciężko to zawsze człowiek przypłacić musi wszelką wiarę, z której go odziera nielitościwe doświadczenie, ciężko wyrwać z tego spokojnego posłania, które sobie marzeniem przygotujemy.

W milczeniu chodził po pokoju zamyślony i usiłował jeszcze wmówić w siebie, że wszystko to o czem go przekonywał Parciński, było zmyśleniem, potwarzą tylko, przesadzoną pogłoską, puszczoną przez nieprzyjaciół, gdy mu oznajmiono, że ktoś z pilnym interesem chce się z nim widzieć.

— Któż to taki? zapytał niespokojny odwracając się do Parcińskiego, chciej pan zobaczyć... ja tak jestem... zmęczony.

Po krótkiej chwili powrócił plenipotent.

— Jest to pan Hubka, dziś sąsiad pański podobno, a niedawno jeszcze komisarz i plenipotent Radziwiłłowski; powiada że osobiście chce się widzieć z panem, ale to nic innego tylko sprawa o dyferencją w lesie. Wiem, że rzucając interesy książąt zobowiązał się ten jeszcze ukończyć, zapewne więc przybył w tym celu.

— E! to dzieciństwo! rzekł Bał, rzecz mała!

— Mała! z zadziwieniem spoglądając na niego odparł plenipotent; mnie się zdaje ogromną owszem... kawal ten lasu.

— Kilka, czy kilkanaście morgów.

— Kilkadziesiąt włók i to najpiękniejszego, to może wartać jakie parę kroć sto tysięcy, bo las nietknięty oddawna.

Bał zdziwiony już u drzwi się wstrzymał.

— Byćże to może?

— Tak jest.

— Ale prawo za mną! dodał żywo.

Parciński ruszył ramionami tylko, uśmiechnął się i dodał:

— Nie wiem, czy prawo za panem lub nie, to pewna, że interes ten można zrobić z panem Hubką pieniędzmi.

Bał się oburzył.

— Zmiłuj się pan! możesz-że mi radzić, żebym komuś pełnomocnika podkupywał?

— Ja nic nie radzę, bo sam podkupiłbym się nie dał, to pewna, ale wiem o kim mówię i jak się tu u nas dzieje.

— Jakto! na wsi! na wsi! w tym przytułku cnót starych, prostoty i szczerości?

— Gnieździ się dziś niestety wiele brudów, dodał

Parciński. ale chodźmy do pana Hubki, zobaczmy.

To mówiąc, pospieszyli do salonu, gdzie na nich gruby i okazały, spasty na cudzym chlebie oczekiwał pan Hubka. Przywitanie było chłodne; humor jednak przybyłego wesół. śmiech zwykły mu z podwójnym hałasem rozlegał się co chwila: gospodarz siedział jak na szpilkach, nie nie wspominając o interesie, którego niby się nie domyślał, plik jednak papierów za frakiem sąsiada oznajmował, że niedawno przybył i czekał na pana Bala. Zdawało się, że Parciński mu przeszkadzał, bo się kilkakroć zażywając tabaki na niego oglądał, jakby go chciał odprawić. Widząc to plenipotent zszedł z oczów na chwilę, a Hubka natychmiast z oddalenia się jego korzystał.

— Cha! cha! rzekł macając się po bokach i dobywając z kolei tabakierki, chustki, okularów, papierów uareszcie, mam tu do Waćpana dobrodzieja maleńki interesik.

Pan Bal, który już trochę wiedział co to są *interesiki* i poczynął gorzej się ich lękać niż wielkich interesów, zadrżał i w milczeniu jak skazany skłonił głowę.

— Trzeba tedy pannu dobrodziejowi wiedzieć, że chociaż mi Pan Bóg dał kawałek chleba własnego. a teraz i wioseczkę...

— Wiem panie dobrodzieju!

— Jednakże trzymałem sie pańskiej kłamki lat kilkanaście. Teraz to się już pod starość odpocząć zachciało i swojego chleba skosztować. Książęta Rządziwillowie, których interesami czas jakiś *zabawiałem się*, polecili mi tu jeszcze jeden maleńki do załatwienia.

— Z Zakalem?

— Tak jest! cha! cha! z Zakalem! maleńki... Pannu



dobrodziejowi zapewne wiadoma już dyferencja w lesie, rozciągająca się klinem długim od Nowin prawie do samej Ciemierniej.

— Wiem, ale to mała rzecz, rzekł Bal.

— Ta, jak komu! rozśmiał się Hubka; ale to lasu kawał pyszny, a siekiera w nim od niepaniętych czasów nie postala. Szlachecka fortunka. Inosci dobrodzieju! tak, tak.

— Bardzobym i ja rad o tę dyferencję z książętami ostatecznie ukończyć, rzekł kupiec.

— Właśnie do tego jestem upoważniony, kładąc na nos okulary dodał Hubka i rozłożył plik papierów, które przerzucać zaczął szukając planiku. Otóż jeśli mi pan dobrodziej łaskawego pozwolisz ucha. mogliśmy kwestję rozpoznać, rozpatrzyć. a potem coś postanowić...

— Najchetniej.

— Cha! cha! rzecz się tak ma: Oto planik dyferencji... Na samej granicy dzisiejszej pańskiej używalności... jeszcze stare doły i ślady. że tamtędy szła niegdyś prawdziwa granica Zakala. Jak się las kończy, aż po rzekę, gdzie dziś wioska pańska Ciemierna, było niezawodnie gruntem Radziwiłłowskim.

— Jakto panie? jakże to być może? zawołał Bal zmieszany.

— Cha! cha! o chwilke obligujcie. Rzecz się tak ma: Książ Szujski Teodor, ówczesny dziedzic Zakala, był to człowiek bardzo gwałtowny. w dobrach książąt nigdy nikt nie mieszkał, a Szujszczyzna rozciągała się wówczas za miasteczko, które do niej należało. Przy książu Teodorze była siła... Obawiali go się wszyscy, bo po prostu wieszal na sosnach kto mu bruździł, a nikt

go zapozwać nie śmiał nawet. Ten tedy. cha! cha! książę Teodor zajął pierwszy *jure caduco* kawal Radziwillowszczyzny, kopce nowe posypał, dęby i sosny rubieżne z krzyżami porąbać i popalić kazal, a na gruntach endzych wieś Ciemierną założył... Książęta Radziwillowie zanosili ciągle manifesta *de violentia*, ale póki książę Teodor żyw był, ani mu kto śmiał w oczy zarzucić. Dopiero po jego śmierci, choć to jeszcze dawność była nie zaszła, rozpoczęły się wizje na gruncie i sprawa, ale ta po dziśdzień się ciągnęła.

— Jakto? przerwał pan Bał, więc panowie nietylko lasu ale i gruntu na którym Ciemierna stoi, dopominać się myślicie?

— A tak jest! cha! cha! odparł pan Hubka... Rzecz w istocie tak się ma.

Kupiec ruszył ramionami.

— Zresztą co się tycze wioski, brzegu i kawalka zarosli, książęta nie będą przy tem stali, dodał plenipotent, ale co się tycze lasu.

— Mnie sprzedając podano całą dyferencją jako słusznie należącą do Zakala.

— Cha! cha! to się to podaje, a na gruncie inaczej się rzecz ma, odparł swoje ulubione powtarzając wyrażenia pan Hubka.

— Pozwól mi pan wezwać tu rady i światła mojego plenipotentą i przyjaciela pana Parcińskiego, rzekł po chwili namysłu Bał, ja za mało znam i majątek i procedurę tutejszą.

— Wola pańska! cha! cha! choć możebyśmy się bez pomocników obesзли, krzywiąc się dodał Hubka, rzecz jasna, pogadalibyśmy i kwita.

— Pośrednik nigdy nie zaszkodzi, rzekł z nśmie-

chem na ustach ale trwogą w duszy o wioskę i las pan Bal i wyleciał uaprzeciw do Stanisława. Tu zastał Parcińskiego na prędce przebiegającego okiem mapę, dokumenta i starającego się oswoić z nową kwestją.

— Aj! bieda! ratuj dobrodzieju! krzyknął kupiec na progu łamiąc ręce.

— No! a co tam?

— Wszak wiesz co mi śpiewają! C'bać ealej dyferencji i C'iemiernej w dodatku...

— No! no! nie ma się czego obawiać! przynajmniej o wioskę! odparł Parciński. Dawniej nieco o tem wiedziałem. teraz przebiegłem okiem papiery — poradziemy, pomówim... zostaw nas pan tylko samych, a jeśliś ciekawy lub niespokojny. możesz z drugiego pokoju posłuchać.

— Dobrze, ustępuje chętnie. pójdę do mojej żony, panowie układajcie się, byle mi ten nowy niepokój jak najprędzej spadł z głowy.

Parciński chwyciwszy papiery ze stołu, uśmiechając się, wszedł do pokoju w którym nań oczekiwał dumny komisarz Radziwiłłowski. Nowe położenie jego nie dozwalało mu zbyt poufale zbliżyć się do ubogiego jakim był pan Tomasz człowieka, którym słuszuie czy nie wszyscy pomiatali. Nadął się więc, rece w kieszenie powkładał, mine stosowną przybrał i od niechcienia rzuciwszy nań okiem zapytał:

— A co panie Tomasz, jak myślisz, co będzie z dyferencją?

— Co ma być? odstąpicie nam ją całą, rzekł plenipotent. kopce posypiem, upijem się i podpiszemy rozgraniczenie.

— O! o! jak to Waćpan szparko i dzielnie te rze-

czy robisz! Cha! cha! żart na bok, co tu mówić długo! Dyferencja dobrze to wiecie należy do nas... nie ma co darmo się durzyć. Podziękujecie jeszcze jak wam zostawiam Ciemiernie... Wszak zapewne wiesz gdzie szła stara granica?

— A wiom! zawołał Parciński wesoło, zajmowała ona aż wioskę Radziwiłłowska Zamulanie; książę Mikołaj Krzysztof czy Krzysztof Mikołaj gwałtownie zajął Szujskim lasy ich, a Fedor oddał za swoje i zniszczywszy ślady gwałtu przywrócił co nam należało.

— E! to Waćpan te rzeczy tak bierzesz? ale ba! zobaczymy co się okaże na gruncie, rzekł Hubka. O księcin Mikołaju Krzysztofie to bajka.

— Tak jak o zaborach kniazia Fedora...

— Ciemierna stoi na naszym gruncie.

— A Zamulanie na naszym...

— No! to się nigdy nie porozumiemy, westchnął dożywając papieru z kieszeni Hubka. rzucił okiem szyderskiem na Parcińskiego i podał mu jakieś pismo; chyba Waćpan to przeczytaj...

Plenipotent rzucił ckiem i pobladł.

— Jaktó! zawołał, był układ z Sulimowskim?

— A widzisz Waćpan że był! — nśmiechając się rzekł Hubka — ot! jak rzeczy stoją... a co teraz pan powiesz?

Parciński usta zaciął.

— Czemuż granica nie przeprowadzona, linja nie wycięta, dokument nie aktykowany?

— Dobra wiara! dobra wiara! — rzekł zimno Hubka — tak stoją rzeczy! pan Bał wchodził w prawa i zobowiązania się hrabiego Sulimowskiego, a zatem dopełni nam co tamten przyrzekł...

— A jakby nie uczynił tego?

— Pójdziemy do sądów!

— No! to pójdziemy do sądów! — zimno oddając papier, niezmiészany rzekł Parciński — niech i tak będzie.

— Tak pan mówisz?

— A cóż mam powiedzieć?

Zamilkli oba, pan Bal niecierpliwy wsunął się po cichu.

— A co? spytał trwożliwie.

— Pan Tomasz, odezwał się Hubka wstając i zmieniając głos i postawę na pokorniejsze, straszy mnie sądem.

— Za cóż pan Piotr straszy mnie jakimś świstkiem? odparł plenipotent.

— Świstek! tak rzeczy stoją! świstek! obruszył się ex-komisarz, niech no pan przeczyta, to formalna komplanacja, ze świadkami.

— Czemuż o niej nie ma wzmianki w naszej tranzakcji? spytał pan Tomasz.

— Dobra wiara! dobra wiara! ale to się zupełnie powinno! szepnął Hubka. Bal spojrzał na Parcińskiego nie nie rozumiejąc. Co to jest? zapytał cicho, poglądając na papier, który trzymał w ręku.

— Nowy jakiś podstęp na pańską krzywdę — rzekł plenipotent: pokazuje się z tego, że rokiem przed sprzedażą hrabia Sulimowski zrobił układ o nową dyferencją, ustępując jej całkowicie Radziwiłłom... Wszak o tem panu nie nie wspominał?

— Ani słowa! musiał zapomnieć.

Parciński parsknął śmiechem, a Hubka zaczął mu wtórować, aż się pan Bal zawstydził.

— Juściż wąpię, dodał, żeby chciał mnie tak podejść, nie spodziewam się by to było w jego charakterze... nadto go szacuję.

— Che! che! tak stoją rzeczy! szepnął Hubka.

— Przeciwno tej konplanacji iść musimy — dodał Parciński.

— Mnie się zdaje, czy nie napisaćby dla objaśnienia się do hrabiego? zapytał trwożliwie kupiec.

— Cha! cha! cha! juźci się podpisu nie zaprze, a wreszcie są świadkowie... urażony trochę dodał Hubka.

Czwila milczenia i namysłu ciężka do przetrwania i długa, przeleciała w ciszy złowrogiej; Hubka tylko sapał, zażywając tabakę i marszczył się.

— No cóż tedy będzie? zapytał.

Bał spojrział na plenipotentę; Parciński wziął pod rękę sąsiada, chociaż ten nie zdawał się zbytnie rad tej jego poufalości.

— Panie Piotrze, rzekł mu na ucho, ten interes trzeba kończyć po sąsiedzku i po ohywatelsku. Konplanacja hrabi Sulimowskiego jest świeżo zrobiona... nas w kaszy nie zjecie; jeśli po ludzku gadać myślisz, możemy to dogodnie i dla *pana* (przycisnął) i dla księżąt załatwić, jeżeli inaczej pójdzie... to się i śledztw i sądu i przysięg nie zlekniemy.

Hubka wyrwał się Parcińskiemu i pobiegł do pana Bała.

— Jahym chciał z panem dobrodziejem samym mieć do czynienia — rzekł grzecznie — pan Tomasz... nam bruzdzi...

Parciński ledwie miał czas mrugnąć na Bała, żeby do niego odesłał znowu natarczywego plenipotentę.

— Panie dobrodziej! grzecznie kłaniając się rzekł

gospodarz, darujesz mi że sam z nim sprawy tej traktować nie będę; nie dosyć jeszcze znam miejscowości, stosunki... okolicę, własne prawa, uproszony odemnie pan Parciński...

— Otóż widzisz panie Piotrze, zawołał Tomasz, że musisz zemną się zostać, porwał go znów pod rękę. Zabieraj papiery, herbatę i wino nam przyszlą do mego pokoju, pójdziemy kończyć na osobności.

Opierał się trochę chcąc swą obywatelską świeżą jeszcze godność utrzymać pan Piotr, ale Parciński gwałtem go prawie śmiejąc się za sobą pociągnął.

## ROZDZIAŁ VII.

### Listy z Warszawy i list z Borków.

Oddalenie często jest najsilniejszym sprzymierzeńcem poczynającego się przywiązania, tak jak zbliżenie się do ideału, długiem wypieszczonem marzeniem, rozkrwawia serce i ustudza miłość... Uczucie to niezbadane, kapryśne, które tak dobrze Grecy na swój czas uosobili w postaci amorka, dzieciury, na wszystkie piętna wieku który je wyobrażał. Goni i ucieka, tęskni i odwraca się na pozór bezprzyczynnie, w rzeczy jednak wedle pewnych praw stałych, które leżą w głębi najpłochliwszej czynności. Świat dzisiejszy wielce od dawnego postarzał i w tem i w wielu innych rzeczach. Znalazły się teorje na wszystko, na magnetyzm i na miłość, na kształcenie się gradu i kłótni kochanków; ale w praktyce stara to historia tysiącoletnia, jedna i taż sama od wieków! Mimo widocznego postępu, w poznanu siebie ludzkość zastosować go jeszcze nie potrafiła do praktyki życia; postęp idzie zdaje się równolegle od rzeczywistości, ni-



gdy nie przeskakując ze sfery myśli do sfery żywota czynnego.

Spytasz mnie może czytelniku, dla czego cię tem nudzę? niestety! odpowiedź byłaby trudna. Nie mamyż prawa przeplatać opowiadania swojego tem co myśl z niego wysnuje i nastreczy? Przypuśćmy żebym pisał powieść historyczną... do iluż to ustępów podobnych nabyłbym większego jeszcze prawa? A zatem nie guiewać się za tych słów kilka, ale jeszcze pokornie, podziękować należy, że ich tylko tyle.

Ale o czemże mówiliśmy?

A! wszakci o miłości, oddaleniu, dziwactwie tego uczucia, teorjach i życiu... Wierzcie mi, nie przyszło to bez obejrzenia się na powieść naszą. Oto właśnie dzień znowu pocztowy, którego otwarcie zutesknieniem oczekują wszyscy, sam pan Bal tylko nie przyznaje się żeby za nim bardzo wdychał. A jednak chwycił listy pożarł je szybko, rozgrzał się niemi widocznie, rozdarł koperty gazet i brnie w doniesieniach Kurjerka przedstawujących mu żywo Warszawę, po której troche smutku i żalu mu zostało... W początku udawał nawet obojętność na listy i doniesienia z rodzinnego miasta, niekiedy przychodziło do tego, że pół godziny zostawiał korespondencje nierozpieczętowane, żeby dowieść jak go niewiele obchodzą, a gromił żonę, córkę i syna za ich chciwą niespokojność nowin, teraz już sam nie może wytrwać by nie zasiadł zaraz do poczty, a trafia się że kilka razy spyta o nie nim przyjdzie.

Lizia, biedna wesola i trzpiotowata Lizia, jakże uwiedła na wsi, jak zawiedziona posmutniała. Jestli to tylko odczarowanie czy innego rodzaju uczucie? Na oczy tak jasne i błyszczące nieraz się zjawia lza tajemna, której nikomu się nie zwierza, a wieczorem ile

westchnień po Bielańskiej ulicy! Nawet ojciec postrzegł już że Lizia jest wcale inną, że ją nic nie bawi, nic nie zaciękawia, że poczty tylko oczekuje, choć z niej listów nie odbiera... Postrzegła matka tęsknotę, dziwi się jej, a że to uczucie zbliża ją do niej, czulszą się jeszcze stała dla córki.

Smutne to położenie biednej Lizi, która kocha może, niemogąc się ani przyznać do tego, ani zwierzyć nikomu... przed którą miłość ciągnie się szarym pasem daleko bez końca, jak droga w stepie, pusta i milcząca... Czasem znecierpliwi się, oburzy i powie sobie: Nie! ja nie kocham! ja go kochać nie mogę! To-by była śmieszność! On nigdy nie będzie się śmiał zbliżyć do mnie, ja ku niemu nie pójdę, dzielą nas żelazne podwoje nieprzełamane... ojciec by nie pozwolił na to nigdy... To dzieciństwo! I wkrótce szepcze dziewczyna, słuchając bicia swego serca.

— Biedny chłopiec! Tak wielkie, cierpliwe, milczące i bez nadziei przywiązanie, nie zasługujeż choćby na trochę litości? miejmy litość, tem bardziej że sobie mamy trochę do wyrzucenia... Ten jego dziennik zawrócił mi głowę; po cóż było czytać dziennik endzy, bez pozwolenia wyciągać go z torebki zamkniętej? Pan Bóg skarzał za niepotrzebną ciekawość. Biedny chłopiec, jak on się tam nudzić musi na tej pustej Bielańskiej ulicy. Bardzo mi go żał! Ale czy wytrwa? O! przyznam się, gdyby mi znowu wpadł jakim przypadkiem dziennik jego w ręce... gdybym w nim wyczytała że się zmienił, że zapomniał...

Lizia domawiając tych słów, wstawała zaczerwieniona, a twarz jej rozgniewana dokończyła, co nie dopowiedziały usta.

Stanisław chwyciwszy swoje listy pobiegł i zamknął się w swoim pokoju... długo tam siedział, marzył i już po trzy razy odczytał list Konstancji, gdy Lizia, która się spodziewała, że Strumisz do niego pisać musiał, weszła niby przypadkiem do brata. Na widok tego niespodziewanego gościa, Stanisław szybko schował list Konstancji i z za łez niedojrzałych jeszcze, w których mu oczy pływały, uśmiechnął się do siostry.

— Co ci piszą z Warszawy? spytała Lizia zręcznie tak poczynając zdaleka.

— Z Warszawy? a! z Warszawy, powtórzył przychodząc do przytomności Staś; zdaje mi się, że coś tam tak być musi jak na wsi, nikt nic nowego nie donosi, jedno i jedno.

— Nudni ludzie! ruszając ramionami, odparła Lizia, to pewno ten nieznośny Strumisz polecił się nawet napisać...

— O! uśmiechając się rzekł Stanisław, list jego aż nadto długi!

— Nadto? podchwyciła Lizia, i ty to mówisz?

— Jeszczem go nawet nie przeczytał.

— Nieznośny też z ciebie flegmatyk, nie mógłbyś mi go pokazać? Ojciec zagarnął wszystkie gazety, mama listy, aż mnie trochę żal i złość wzięła, że do mnie nie ma... muszę choć list tego nudnego twego Strumisza przeczytać.

— Ale nie wiele się z niego dowiesz myślę, rzekł Staś wyciągając jej ledwie rozpieczętowaną kopertę, musi pisać o handlu, o sobie...

— To nic nie szkodzi, chce mi się czytać — daj! To mówiąc Lizia, niby obojętnie pochwyciła list Strumisza. powoli wyszła z pokoju i biegiem poleciała do

siebie. A serce jej biło.

Tymczasem Stanisław czwarty raz czytał list Konstancji.

— „Smuci mnie doprawdy, że wieś tak zle na panu robi wrażenie. Jak też to ktoś słusznie powiedział, że wszystko nosimy w sobie...

„Świat jest tylko ramą, na którą nabijamy płótno przez nas malowane. Czarny dla jednych, dla drugich różowy; jakim jest rzeczywiście, to Bóg wie tylko jeden, w koło którego korony schodzą się wszystkich barw promienie w wielką nieśmiertelną aureolę jasności!

„A! przepraszam, cóż za wysmażony aforyzm mi się wysliznął, na Boga zaklinam, nie posadź mnie pan o jakie pretensje do literatury i stylu! ja tak literatek nie lubię. Na co nam żyć papierem, gdy możemy sercem? Jak widzisz pan, łapię się nieustannie na nieznośnem dogmatyzowaniu. Dostyc tego, przejdźmy do miasta naszego, o którym chcesz wiedzieć stroskany mój wieśniaku...

„Miasto jak kociołek, pod który kucharka ogień podłoży, wre i gotuje się nowem życiem, życiem zimowem. To jego pora, to jego młodość! Zewsząd wpływają weń nowe żywioły, nowy ruch, nowi ludzie... ulice pełne wrzawy, teatr pełen świateł, muzyka leje się i rozlewa aż na ulice... chcemy się bawić i być weseli. Co puciekowało z miasta do wód, na wieś, powraca teraz odświeżone, odmłodzone, stęsknione za swoim ogniskiem; co w niem nigdy nie było, przylatuje tu także skosztować, napić się, lub chociażby popatrzeć zdaleka.

„W ogólności dzielą się tu ludzie na dwie klasy, tych co nżywają i tych co im zazdroszczą. Miarkuj pan so-

bie, że i ja... i ja czasem się łapię na tym grzechu. Chwilka zapomnienia, radości, taka to droga i rzadka rzecz, że może niewinnie jej zażądać nie należy do siedmiu głównych?

„Dość powiedziałam pann, przyznając się że zazdro-szcze, bo kto zazdrości ten nie ma... ja się nie bawię, ja tęsknię za tem właśnie co pana trapi i niecierpliwi. Za szumem lasów zimowym, za głąchą ciszą, za ja-kimś domkiem w pustem polesiu, na którego kominku palilby się ogień ołchowy, a około niego kółkiem sie-dzieliby... O! ci, których już nie ma na świecie! pocz-ciwy dziaduniu mój i kilka cieniów przeszłości nieza-pomnianej nigdy! Jak tam musi być dobrze w spokoj-nem Zakalu, w którym się tak państwo mecycie!

„Znowu mi pan wymawiać będziesz, że nie mu nie piszę o mieście! Doprawdy! doprawdy nie mogę! Powinnibyśmy się pomieniać, pan byś mi pisał o mie-ście, ja panu o wsi, możeby to nas pogodziło z niemi? Wracam do pierwszego założenia, że świat takim się nam wydaje, jak my patrzym na niego. Rozważ to pan dobrze. Zdaje mi się, że i cała tajemnica szczęścia ludzkiego w tem się zdaniu zawiera, trzeba jej tylko dobrze w niem poszukać.

„Krombachowie całą rodziną zdrowi i weseli, co-dzień się wiecej przywiązują do nich, zacni, poczcwi ludzie! Nie wiele jest doprawdy tak silnie złączonych familij, któreby potrafiły ciągłemi ofiarami, nie poka-zując ich po sobie, wyżyć tuż przy sobie i ważyć po-godnie a szczęśliwie. Patrzę na to, uczę się i szanuję tych ludzi! Co za słodycz charakteru, co za przywy-kuwanie do poświęceń! Wszyscy a wszyscy pięknie się panu kłaniają; wielu tu i często pytają o państwa.

Różne dochodzą nas wieści... wiele w nich przesady. Mówią już u nas, że pan Bal kupił zamek na łodzie, który się rozplynał nim do niego dojechał. Pytałeś mnie pan o starego Zrebskiego, dowiadywałam się, kupił wioseczkę w Plockiem i wyniósł się z Warszawy.

„Drzę ciągle ze strachu, żeby to zbliżenie się do hrabiego nie przypłacić było trzeba nową jaką klęską. Nienawidzę tego człowieka jako zabójcy mojego dziada, znam go tak dobrze! obawiam się tak bardzo! Dla czego pan milczysz? mężczyzna powinien mieć więcej odwagi...”

Lizia tymczasem odczytywała list Strumisza, który chwyciła, korzystając z roztargnienia Stanisława. Nie spodziewał się on, żeby w nim co takiego być mogło, czegoby nie mógł dać siostrze; nie domyślał się jej uczucia, nie przypomniał jak ono odrobiną karmić się umie. Ziarka mu dosyć gdy głodne, świata mało gdy się nasycić zechce.

List Strumisza do przyjaciela był następujący:

— „Kochany Stasiu! Wiele też to tysięcy lat jakżeście wyjechali z Warszawy! Nie wiem, ale to pewna, że jak Mahometanie od Hegiry, ja liczę od wyjazdu wszystko, a zdaje mi się, że wieki upłynęły od pożegnania na Pradze. O! jakież tu pustki! fraszka te, na które ty narzekasz! Jesteście razem, całem kółkiem, nikogo wam nie braknie, nie tęsknicie za nikim, zabraliście świat swój z sobą i nic, nic prócz murów ziemnych, przeraźliwą wiejących pustką nie pozostawiliście. Dom wasz straszy mnie jak te zamki stare w bajkach, w których także nic innego tylko przeszłość straszyla. Jeszcze w dzień jest praca, zajęcie, to odbiera jeśli nie ból serca, to przytomność; ale wieczorem, gdy wszystko

się rozbieży po kątach, zamkną bramy, zapalą latarnie, kiedy się długie cienie rozsuna poczwarnie, ciemność i cisza cisną okropnie... spoglądam w okna pierwszego piętra.... ciemno! ciemno! nikogo w twoim pokoiku... pusto.... na tych gruzach sam jeden jestem tylko.

„Nie nie przesadzam kochany Stanisławie, ale mi bardzo smutno, straszliwie tęskno, i trzeba doprawdy mego przywiązania do was, żeby tu wytrwać na stanowisku.

„Nie raz żal mi że nie umiem się pocieszać i rozrywać jak drudzy. Knaipy mi wcale nie smakują, w książce czytam nie to co pisano, ale to co myślę... Próbowałem pójść na teatr... pełno lalek a z ludzi nikogo — uciekłem. Od waszego wyjazdu po ulicach nawet lalki tylko chodzą, które poniciekały oczewiście od perukarzy i udają że żyją. Wściekle czasem rzucam się w morze rachunków, ułamki, sprawdzania, kontrole... utonąć w nich nie mogę. Kiedyż bo przyjedziecie i przywieziecie mi życie z sobą?

„Doprawdy, czasem tak zły bywam, że wam życzę najstraszniejszych nud, zawodów, kłopotów, któreby was nareszcie wypędziły do Warszawy.

„Piszesz mi że powinienem sobie wyszukać rozrywki, towarzystwa. ludzi!

„Nie znasz chyba tych chwil i położen, w których wielkie przywiązanie do jednych, rodzi wstręt do wszystkich innych. Szacuję bardzo cały rodzaj ludzki, ale mnie on nie bawi jakoś; w towarzystwach szukam was tylko. Żle to żem się tak przywiązał, sam czuję teraz. Do czego się to zdało? sługa powinien być sługą tylko... co by to był za kłopot gdyby każde narzędzie wzięte do ręki, do dłoni ci przyrosło? Macie coś podobnego

ze mnie... Gniewam się na siebie... Ale sierota i włóczęga, samiuteńki jeden na szerokich obszarach świata, szukam sobie czegoś, żeby się przytulić i spocząć. Od dzieciństwa żyłem tylko litością ludzką... jest to wprawdzie miłości siostra czy córka, ale to jeszcze nie miłość! Daruj mi Stasiu te fantastyczne frazy i nieporządne zwierzenia, ale doprawdy bardzo mi za wami tęskno.

„Straty o których mi donosisz, były dla mnie przewidziane, to jeszcze jedna z najmniejszych rzeczy; będziemy się starali tutaj tak gospodarować abyście ich nie uczuli. Tylko powróćcie.

„Słyszałeś kiedy o starym poczciwym Murzyńskim, który dostał się w spadku ojcu twojemu po dziadzie, a umarł nie wiem w wielu parach okularów nad księgą handlową, wyobrażam sobie że i ja kiedyś, jeśli okularów dożyję. jeśli mnie nie wypędzicie, w kątku waszego domu, pilnując dobra waszego, życie skończę. Jak kot przywiązałem się już nawet do Bielańskiej ulicy i do waszego domu... Tej izdebki w której mi tak tęskno. nie zmienilibym na pałac Krasińskich.“

Lizia czytała, podniosła oczy z których się najniepotrzebniej dobyła łezka srebrna śliczniutka, czysta, pocziwa, warta by ją Bóg w perłę przemienił, i zobaczyła nad sobą stojącą matkę. która już od kilku minut wpatrywała się tak w zaczytane dziewczę z uczuciem litości i niespokoju.

— Co to jest? Liziu! co ty czytasz i kto do ciebie pisał?

— Do mnie? wstrzesło się dziewczę, do mnie nikt mamó!

— Cóż to za list...

— To list... jest to list... zaczęła zafrasowana, żar-



tem, przez ciekawość wzięłam go od Stasia...

— Widzę to list Strumisza, ale czegożeś się rozpłakała?

— Ja? żywo oczy ocierając zawołała z uśmiechem niezręcznym Lizia.

— Ty, moje dziecko, tak! ty...

— Ale czyż ja płakałam? tak się mamie zdawało.

— Liziu! wierz mi, ja jeszcze doskonale widzę!

— Dzieciństwo! nie wiem! taki bo ten list tęskny, smutny, a ten Strumisz śmieszny!

— Śmieszny, tak że cię do łez rozczulił?

— Nie godzi się tak chwytać za słowa.

— Nie godzi się nie mówić prawdy matce...

— Ale cóż miałam powiedzieć? żywo odparła zmieszana Lizia, Strumisz popisał dzieciństwa.

— Na cóżeś je czytała?

— A! jakże mam! wszyscy odebrali listy, ja tylko żadnego, Staś się musiał ze mną podzielić.

Matka ruszyła ramionami z uśmiechem, a rzut oka na łagodny wyraz jej twarzy przekonał Lizię, że pobłażającego będzie miała w niej sędziego.

— Cóż on tam takiego pisze? doprawdy, odezwała się z lekką wysuwając list z rąk Lizi pani Bałowa, jestem trochę ciekawa.

— Dzieciństwa...

— Jeżeli ci wolno je było przeczytać, czemuż nie mnie także?

I matka rzuciwszy jeszcze raz okiem, co wszystko odgadło, na Lizię, usiadła do listu Jana... Córka zarumieniona poczęła się przechadzać spoglądając na nią i czatując na wrażenie jakie list zrobi; spodziewała się łez w oczach matki także i nadzieja jej nie zawiodła.

Długo z przybraną powagą i surowością czytała matka, potem powoli nabrzniały jej spuszczone powieki, zatrzęsa się ręka i łza tajona, wstrzymywana, upadła na tęskny list młodego chłopca.

— Mamo! zawołała Lizia klaskając w dłonie i podbiegając ku niej, rozgrzeszyłaś mnie, widzisz! samaś się rozplakala.

— Ja? spytała z kolei matka.

— O! łza nawet na list upadła! mam dowód.

— I nie taję się z nią. Liziu! mnie tak tęskno za Warszawą, z tak ściśnionem wyjążdżałam sercem, ale ty coś tak wesoło żegnała rodzinne miasto, a tak trzpiotowato uśmiechała się do wsi.

— Wieś mi się nie wypłaciła wcale za moje dobre ku niej chęci, udając wesołość odpowiedziało dziewczę.— Niechże mama sądzi, za co ją tu kochać? za pana Porfrego? za pana Zmorę? za Sulimowskich? czy za Dankiewiczów? Jak żyję, tyle razem nie widziałam śmieszności i dziwolałów. Jeszcze gdybym choć miała to szkiełko, przez które ojciec patrzy na wszystko co go otacza, upatrując wszędzie cnoty, blaski, nimbusy. Szkiełka tego widać zapomniałam w Warszawie.

— Więc ten list, przerwała matka, nie dając się oszukać wesołości przybranej, ten list taką w tobie obudził tęsknotę za Warszawą.

— Taką tęsknotę? powtórzyła Lizia rumieniąc się.

— I trochę żalu może.

— Żalu, dla czego?

— Już cię musiałaś i biedaka Strumisza pożałować! żartobliwie dodała matka.

— Ot! nie wiem! zamyślając się poczęła Lizia doskonałe udając mowę, ale rumieniąc się co chwila. —

Strumisz jest na kupczyka zanadto uczuciowy, trochę śmieszny!

— Dla czegoż uczucie miałoby być śmieszne? spytała matka...

— Ja tam nie wiem, tak mi się to wydało.

Podano herbatę, wszyscy się zeszli do saloniku.

Po twarzach poznałbyś że to był dzień pocztowy... tak rozjaśniały je odebrane listy i pisma. Pan Bal choć się niechętnie do tego przyznawał, weselszy był niż kiedykolwiek, wstąpiła w niego nadzieja, odwaga. wiara, które go opuściły na chwilę. Stanisław milczący chodził z rumieńcem na twarzy. ściskając co raz list złożony na piersi by się przekonać że go nie zgubił.

Parciński w milczeniu pił herbatę, rzucając okiem po otaczających i nie śmiejąc się odezwać, żeby marzeń które widocznie latały po czołach nie przerwać.

Nakoniec pan Bal zatarł ręce i sam rozpoczął rozmowę, ale dziwnie poplątaną. Chciał i silił się mówić o Zakalu, o swojej wsi ukochanej, a co chwila zwracał się ku miastu i powtarzał to nowinki z Kurjerka, to wiadomości z listów. Widocznie męczył się z sobą, wymawiał sobie słabości i podolać jej nie mógł.

Parciński dobrodusznie się uśmiechał.

Przeznaczeniem było Zakala, żeby w niem chwili spokojnej nie zażył nowy dziedzic; właśnie gdy się najweselszej rozgadał, służący wniósł list.

Zachmurzyła się twarz kupca, westchnął i rozpieczętował, a rzuciwszy nań okiem, pokiwał głową, zdawał się namyślać i wziął Parcińskiego do okna.

— Panie Tomaszu! rzekł. Dankiewicz prosi mnie o pożyczkę pieniędzy.

— Zgadłem, rzekł plenipotent, to przyjść musiało

niechybnie! byłem tego pewny.

— Mam mu pożyczyć?

— Jaby nie dał.

— Dla czego? nie odda?

— Najprzód, że nie odda, powtóre, że raz pożyczysz, nudzić będzie nieustannie; odpisz pan, że niespodziane wydatki i spodziewane jeszcze wypłaty nie pozwalają mu tej sąsiedzkiej dopełnić przysługi. Odpisać trzeba bardzo grzecznie.

— Zawsze się pisze bardzo grzecznie, rzekł pan Bał, ale nie będę miał nieprzyjaciela?

— A jak pan pożyczysz a dopomnisz się, gorszego jeszcze zyszczesz wroga!

— Hm! i to prawda.

— Dasz jednemu, dziesięciu się zjawi łakomych na grosz, nie opędzisz się od nich.

— Wiec nie dawać!

— Zdaje mi się.

— Nie bój się pan, rzekł śmiejąc się i odchodząc kupiec, odpiszę bardzo grzecznie, nie uchybie.

Grzeczność była wcale na ten raz nie skutecznym plastrem; choć mówią, że nią przesadzić nie można, ale i to pewna, że na niewiele się przyda.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

---

### Narady, oświadczenie i znowu nieszczęśliwa dyferencja.

W kilka tygodni po opisanych wypadkach, w Brogach u pana Teofila Zmory zjawił się dawno nam znajomy hrabia Bracibór Sulimowski; trafił właśnie na zwykłego tam preferansa, składającego się z gospodarza, siwego Jasia Pancer'a i pana Hubki, z wychodzącym Porfirym Szaławińskim, który to się cofał od gry przestraszony przegraną, to do niej powracał wśród śmiechu powszechnego obiecując sobie odegrać. Przybycie hrabiego na chwilę grę przerwało, musimy bowiem choć tę mu oddać sprawiedliwość, że w ciągłych szachrach majątkowych i procesach, nie miał czasu żadnego nabrać nałogu i do kieliszka ani do kart nie miał skłonności. Jedna myśl przewodniczyła mu w życiu, zdobyć jakimikolwiek środkami wielki majątek myologicznych przodków i zająć w społeczeństwie z mocy talarów, miejsce które sobie należnem uznawał, a inaczej dobić się go nie umiał.

Nie było nadeń pracowitszego człowieka: całe życie na wózku przelatywał z majątku do majątku, z powiatowego do gubernialnego miasta, naradzając się z plenipotentami, z kancelaryzystami, sędziami, podając prośby, manifesta i tym podobnie. Uparta jednak fortuna nie wypłacała mu trudów jego, nic się nie wiodło, przegrywał często, a wygrane w korzyść nie szły. Nie zrażony jednak szedł tak dalej a dalej.

— Zkądże to hrabio jedziesz? spytał go gospodarz, pewnie nie umyślnie do mnie? ale albo z Łucka, albo do Żylkowa?

— Cha! cha! roześmiał się tajemniczo przybyły zasiadając w krześle wygodnie, na ten raz się mylisz, jestem w Brogach namyślnie...

— To być nie może!

— Najistotniej!

— Jakże będę takiego gościa przyjmował?

— O! tylko bez ceremonji, kończcie państwo preferansa. a mnie dadzą co przekąsić. bom głodny trochę po przejażdżce.

Gra już i tak długo przeciągniona zerwała się zaraz z przybyciem hrabiego, zrobiono rachunek, zsunięto stolik. Pan Porfiry, który nie lubił gościć tam długo gdzie na niższy ton swój musiał się nastrajać, kazał konie zaprzadź i wyjechał. Jaś Pancer niewyspany położył się przedrzymać, a Hubka, hrabia i Zmora zostali sami.

Sulimowski zbliżył się wprzód do Hubki.

— Cóż dyferencja? spytał śmiejąc się po cichu, skończyliście?

— Cha! cha! rzeczy tak stoją, że bylibyśmy skończyli, gdyby nie ten psia-wiara Parciński, który im

radę daje i chce ich widać w proces wciągnąć, żeby się dłużej obławiać.

— No! to z nim pomówić na osobności. Góły, nie może być żeby nie wziął.

— O! co to to nie! rzekł cofając się Hubka, ja Parcińskiego znam, gotów by oczy wydrapać za samą propozycję!! Była tego raz próbka, chciał kijem obić.

— Może mu mało dawano, rzekł hrabia śmiejąc się.

— Przeciwnie, była to sprawa ważna, ofiarowano mu trzy razy tyle ile ma całego majątku, to jest ile wart jego dworek w mieście; pan Pędziszewski ledwie miał czas uciec od niego, tak się chwycił...

— Ba! ba! cóż to taki bardzo pocziwy?

— Nie! to musi być dziwak! odparł Hubka, czując że mu w taką pocziwość wierzyć jakoś nie wypadało.

Hrabia głową pokiwał. Co więc będzie z dyferencją?

— Sprawa w zawieszeniu, ale po obejrzeniu na gruncie... sądze że się skończy zgodnie...

— A dyferencja cała przy was pozostanie?

— Wątpię!

— Jakkolwiek wypadnie, proszę pamiętać umowę nasze... będę potrzebował... rzekł hrabia.

— To się załatwi w swoim czasie, mruknął Hubka już poglądając na czapkę, którą żywo pochwycił i uśmiewszy się przy pożegnaniu siadł na swoją bryczkę, uciekając do domu.

— To kawał filuta, rzekł hrabia po jego odjeździe. Gruby baryła; powiedziałbyś że go pierwszy z brzegu oszuka, a wziąć-że go w leszczotki, ani grosza z niego nie wyciśniesz.

— Czy hrabia masz z nim jakiś interes?

— Małeńki, drobnostkę. Ale na jego łasce!

— O! to nie najlepiej!

Sulimowski odwrócił rozmowę.

— Dobrze, rzekł. żeśmy się niepotrzebnych pozbyli świadków. Mówiłeś Balowi to com ci polecił?

— A jakże! i trzeba było słyszeć jak zręcznie się wzięłem do tego.

— I cóż? oblizal się bardzo!

— Zdaje się; jednak uważałem że i tą razą, choć bardzo wyraźnie im nadmieniałem o synu, nie będzie podobno śmiał jeszcze...

— Jak to? a czegoż u licha by czekał? Czy nie filuterja to z jego strony ta nieśmiałość? Ale nie widzi mi się żeby mógł nie dowierzać nam, lub domyślać się i lękać...

— Wątpię bardzo!

— Zkądże takie tchórzostwo nie w miejscu?

— Czy nie syn tu na przeszkodzie?

— Bardzo być może! najpodobniej! Ale nie starałżeś się zbliżyć do niego?

— I owszem, wszelkiemi sposoby, ale to dzikie stworzenie... Usiłowałem dowiedzieć się co lubi, czem się zabawia; mówią że czyta, przechadza się, od ludzi stroni... a bodaj czy nie zakochany... Ojciec może wie o tem.

Hrabia się zamyślił kiwając głową którą przechylał na jedno i drugie ramię.

— Szkoda! szkoda! dobra by to była partja! u nas w okolicy nikogo z takim funduszem nie znajde dla Łucji. Miałbym przez nią ich miljouy w ręku! Oczywiście Sulimów! szkoda! Ale nie można by jeszcze spróbować...

— Jest na to jeden sposób, rzekł uśmiechając się



Zmora, który przygotowywał cygaro z największą pilnością układając rozerwane listki jego.

— No! a jaki?

— Najprzód potrzebaby mnie ożenić z Lizią, raz wszedłszy w familją, pokierowałbym niemi jakbym chciał; bo ludzie naszego położenia towarzyskiego wszedzie rej wodzić muszą... Wydałbym Łucją pewnie za Stanisława.

— No! a czemuż nie docierasz? spytał Sulimowski.

— Staram się ciągle o względy tego kapryśnego dziewczęcia, chociaż zgola powiedzieć nie mogę, czym je pozyskał. W początku jakoś to szło lepiej. Matka i ojciec przyjmują bardzo grzecznie, Stanisław widocznie odemnie stroni.

— Na cóż czas darmo tracić! oświadczył się!

— Dobrze to mówić. Najprzód sam tego uczynić nie mogę, właściem jechać miał do Sulimowa prosić hrabiego, żebyś mnie w tem zastąpił. Oni ci odmówić nie potrafią...

Sulimowski rozśmiał się po swojem szerokiemi usty, a po cichu, pokreślił głową i dodał:

— Ot! jakem ci na rękę przyjechał. Cóż! nie ma czego by człek z siebie nie uczynił dla familji, pojedę!

Zmora z ukłonem podał mu rękę na znak podziękowania.

— A kiedyż? spytał.

— Choćby jutro!

— Przyznam się, że mi mrowie po skórze przechodzi! Hrabio na Boga ostrożnie! powoli!

— Nie ncz mnie tylko.

— Nie trzeba się spieszyć.

— Owszem trzeba bić żelazo póki gorące, bo potem może djable ostygnąć.

Na twarzy Sulimowskiego tak dziwny w tej chwili wypiętnował się wyraz utajonego szyderstwa i chytrłości, że Zmora który miał zapalić już opracowane cygaro, zatrzymał się, stanął i wlepiając weń oczy, zapytał:

— Hrabio! bądźmy z sobą otwarci; co to jest? mówiłeś mi i wprzód o powodach znagających cię do pośpiechu... teraz zuów coś przebąkujesz... na co z sobą mamy grać w ciucinbąkę? powiedz mi co to jest?

Sulimowski się zasepil, ułożył fizjognomją smutną prawie i zakłopotaną i tak począł:

— W istocie nie możemy mieć dla siebie tajemnic, trzeba żebyśmy sobie wzajem pomagali, a do tego poznać musimy swoje położenie. Ta sprzedaż Zakala wiele mi krwi popsula, najprzód żał mi majątku, z którego byłbym zrobił złote jabłko.

Zmora ruszył tylko ramionami.

— Nie żartuję, to śliczuy majątek; w Warszawie podeszli mnie, nabechtali, tak że dałem się namówić na sprzedaż uie wiedzieć po jakimu. Straciłem głowę, przepomniałem wielu rzeczy. Ale sam uabywca pędził muie, naglił, brał wszystko na siebie, bylebym kończył z nim, tak że teraz skutkiem tego pośpiechu mogę być posądzony...

— O co? spytał Zmora.

— O jakąś niedelikatność, rzekł hrabia, a wiadomości, dodał zupełnie serjo, jak w interesach jestem sumienny i skrupulatny.

Zmora udal, że wierzy na ten raz.

— Muszę spieszyć zrobić jeśli się co uda z panem Balem, bo na Zakalu może się odkryć zatajony, zapomniany przezemuie malej wagi ale nudny proces z Mylińskimi o dwakroć sto tysięcy, z narosłemi pro-

centami, prawie *alterum tantum*, uaówczas Bal będzie myślał, że go chciał oszukać. Dodaj do tego że i dyferencję mu zabiorą, o której lepiej dopiero jakoś później po sprzedaży dowiedziałem się. Trzeba więc z Balem spieszyć póki to nie powychodzi na wierzch.

— Ale to łada chwila nastąpić może! chmurno rzekł Zmora żalując już że swoją sprawę powierzył hrabiemu.

— Tak prędko może nie jeszcze, Mylińskich proces ciągnął się lat trzydzieści; to głupstwo, napaść! Zawsze jednak gdy zastukają Bal się złęknie i krzyk będzie na mnie.

— Mnie się zdaje — rzekł Zmora widocznie chłoduując — że lepiejby było żebyś hrabia sam o tem nprzedził.

— Ja! — krzykował Sulimowski — niech pań Bóg broni! Zapomniałem mu powiedzieć w porę, teraz muszę milczeć.

— A jeśli Mylińskich pretensje okażą się słuszne? spytał Zmora, który już rachował że Zakale spaśćby mogło na przyszlą jego żonę.

— To być nie może! przegrywali wszędzie! przedawnień i nieformalności jest mnóstwo, a w dodatku to ludzie ubodzy, nie dojdą!

— Ale czy im się to należy?

— Jużcić nie należy, kiedy nikt im nie przysądził! prawo za nami, to jest za Zakalem.

— A sprawiedliwość? spytał Zmora.

— Ja nigdy nie jestem tak dumny, żeby miał prawo od sprawiedliwości odróżniać, rzekł hrabia; mówmy o czem innym.

Zmora zapalił cygaro i usiadł zamyślony. Popsuło mu widocznie humor zwierzenie się krewniaka. które-

go nadto znał, żeby jego malowaniu mógł wierzyć. trochę mu wstyd było szachrajstwa jego, a może i miłość własna szeptala, że opinja o hrabi wpłynie na wyobrażenie o blizkim jego krewnym. Radby był się cofnąć z tego o co przed chwilą prosił, ale nie miał sposobu uczciwie zawrócić się, a hrabia im więcej zastraszało go odkrycie wilków zakalańskich (tak się nazywają zatajone w majątkach interesa). tem żwawiej przysunwał się do Balów, okazując że się do niczego nie poczuwa.

Wieczór upłynął dosyć smutnie i nudno. hrabia mówił wiele, cóż kiedy Zmora wierzyć mu nie mógł. potakiwać nie miał ochoty, a zaprzeczać nie chciał: pomrukiwał więc tylko nie bardzo się odzywając. Nazajutrz rano Sulimowski w starym czarnym fraczku. gdyż o ubior nie wiele dbał, wybrał się do Zakala. smutek knuzynka biorąc tylko za naturalną w takim razie obawę. Siadł do powozu dodając mu ducha. i krzyknął jeszcze z niego po francusku:

— *Allons donc! on ne refuse pas un cousin des Sulimowski! Du courage, ça ira!*

Pan Teofil stojąc na ganku pokiwał tylko głową.

— A przeklęty stary szachraju! — rzekł w duchu — że też się nigdy nie poprawisz, ani ci przybędzie wstydu, ani stracisz śmiałości! Wiem teraz z góry, że z tego nic nie będzie, lichu mi też nadało chwalić się waszem pokrewieństwem i prosić o protekcję!

Było na kogo winę zrzucić, i to trochę osładzało troski zawczesne.

Hrabia tymczasem jechał do Zakala myśląc przez drogę o swoim położeniu względem pana Bala. Co u licha! mówił, w żadnym razie obwiniać mnie nie mo-

że, prosiłem go, modliłem, wymawiałem się. napierał się nabycia, chciał kończyć gwałtownie, niechże teraz pokutuje, ja ręce umyвам. W potrzebie sam mu to gotów jestem powiedzieć. Nie może gniewać się na mnie!...

W tych myślach przyjechał Sulimowski i wysiadł w ganku dziwną się odświeżoną do niepoznania postać starego dworu. Takiej metamorfozy mogły tylko dokazać znaczne pieniądze i wielka ochota wyrzucenia ich za okno. Stary dwór nosił zawsze na sobie cechy wieku, ale wystroił się ich starszerek na przyjęcie gości, włożył dach nowy, ściany mu poprostowano, okna dano większe i ze szkła pięknego, okiennice robotą stolarską, ganek nawet się wywdzieczył, ustrojony w słupy, lawki i balustrade w smaku odpowiednim budowli. Ale niczem były te powierzchowne oznaki dbałości przy zupełnie odnowionem wnętrzu. Piece kaflowe z pod Krzemieńca. posadzkę z Połonnego sprowadzono, nowymi obiciami przeciągano ramy starych wyświeżonych futrowań; a że z Warszawy nadeszły meble i sprzęty, dom zakalański jak był na przedce urządzony, mógł za najporządniejszy w okolicy uchodzić...

Wszystko to rzutem oka obejrzał hrabia. obliczył po cichu kosztą i uśmiechniony spotkał się z panem Balem. którego ostygła trochę grzeczność zaraz go na wstępie nderzyła. Na widok tej zmiany hrabia podwoił dumy i zarozumienia, zdawna zauważywszy, że to było najlepsze lekarstwo przeciw oziębłości bliźniego, mogącej przejść w inne mniej znośne uczucie.

Pan Bał zawsze uprzejmie i dość uniznienie wprowadził go do nowego saloniku, pustego w tej chwili, ale z przepychem niemal zagospodarowanego. Śliczne meble obite aksamitem, wielkie zwierciadła, kilka obra-

zów krajowych, trochę fraszek, dywany, firanki, portjerry, obicia, wszystko jak z igły zdjęte wyglądało, doskonale harmonizując z sobą barwą i rysunkiem.

— A! a! jakże to u państwa ładnie, świeżo! rzekł hrabia oglądając się zdumiony, prawdziwie aubym poznał swojego Zakala! co to mogą pieniądze!

— I trochę smaku, — odważył się podszeptać pan Bal.

— Nadzwyczaj wiele smaku! — dodał hrabia — ale smak bez pieniędzy to tylko męka.

Rozmowa poszła bitym torem oklepanek; wkrótce dano obiad, na którym zebrało się zwykłe towarzystwo, dosyć milczące i zimne. W godzinę po nim hrabia i Bal siedzieli w osobnym pokoju.

— Ani się pan dobrodziej domyślasz żem tu przybył w misji dyplomatycznej, uśmiechając się przerwał milczenie hrabia.

— Cóż to być może?

— A! zaraz się to da widzieć! Sulimowski przybrał postawę poważną. Przychodzę, rzekł, w poselstwie od mojego kuzyna Zmory, jest to rodzony mój siostrzan, człowiek któremu gdyby był nawet obcym, oddałbym tę sprawiedliwość, że mało jemu podobnych: pełen charakteru, rozsądny, rządny, z taktem wielkim; majątek nie zły wcale i czysty... Zapewnieście państwo postrzedz musieli, że piękne oczy panny Elizy usiedliły nieboraka...

Bal mocno się zdawał skłopotany i nic a nic nie wesół.

— Prosił mnie, dokończył hrabia po przestauku, żebym tu był tłumaczem jego uczuć, i w imieniu jego zapytał państwa jak jego staranie uważać zechcecie?

Kupiec uklonił się w milezeniu.

— Niech mi pan hrabia wierzy, rzekł, że czuję się zaszczyconym żądaniem szanownego siostrzeńca pańskiego i uniem mu za nie być wdzięcznym, ale...

Hrabia brwi podniósł, a usta szerokie zaciął, tak że zdało się jakby sobie chciał uszy pozakąsywać.

— Ale — dokończył Bal — moja córka w wyborze będzie zupełnie swobodną. Ja nie myślę jej wskazywać nikogo, czuć się tylko będę w obowiązku pokierować jej wyborem, jeśli mi się nie zdawał stosowny... Prócz tego jest ona jeszcze tak młodziuchną.

— Cóż mam przez to wszystko rozumieć? spytał wyprężając się poseł.

— Że Lizia nasza jest panią swej ręki...

— A gdyby wybór jej padł na mego kuzyna?

— W takim razie ja bym nie miał przeciwko temu.

— O to nam chodziło właśnie, lekko głowę schylając odpowiedział hrabia, i za to dzięki składam.

Pan Bal się uklonił w milezeniu.

Wtem wszedł z plikiem papierów Parciński, na widok którego hrabia schwycił za czapkę i zmieszany począł się zabierać do odjazdu, udając jakoby się nie domyślał że interes może być do niego.

— O chwilkę bym prosił pana hrabiego, rzekł z przesadzoną prawie grzecznością plenipotent...

— A cóż tam takiego? dumnie spytał z góry Suliński.

— Mam tu małą kwestję, w której bym, jeśli łaska pańska, chciał się objaśnić...

— I ja bym prosił, dodał Bal, wlepiając w niego oczy chcące zbadać a nie umiejące nic wyczytać z gipsowej twarzy starego procesowicza.

— Najchętniej! najchętniej! co mi panowie każecie i o co to chodzi?

— Jest to spór o dyferencję w lesie z Radziwiłłami.

Sulimowski stanął, zamyślił się i podniósł oczy w sufit i zdawał się mozolnie coś sobie przypominać.

— Tak, tak, rzekł, przypominam coś sobie, nigdy tego interesu dobrze nie znałem. Była jakaś kwestja o las, o kawałek, spór! tak, tak! ale dokładnie nie wiem jakiej to wagi rzecz. Hubka mi tem głowę durzył i durzy jeszcze. Nawet mi dał jakiś papier do podpisania, którego w pośpiechu nie czytając na wiare jego poświadczyłem. Miałoby to być coś zaciągniętego, jakaś formalność do spełnienia.

Przez cały czas tej mowy jednym tchem, ale gdyby nie zbyt ni pospiech z doskonale odegraną mimiką wypowiedzianej, Parciński z zupełną serją wpatrywał się w twarz hrabiego, rzekłbyś krytyk, co śledzi ruchy aktora.

— Mój Boże, jakąż to pan hrabia nieostrożność popełnił, rzekł w końcu bardzo naturalnie, ale w duchu szydersko Parciński. wszak to była komplancja o całą dyferencję, którąś hrabia odstąpił Radziwiłłom.

Sulimowski niby osłupiał, niby stanął.

— Co pan mówisz! być-że to może? a proszę, na co to naraża zbytek wiary: tyle mam zajęć na głowie, taki nawał interesów! Nie spojrzalem nawet podpisując.

— A to nie jest rzecz mała, rzekł Parciński, ta dyferencja stanowi dziś główną wartość Zakala.

Hrabia się niedowierzająco śmiechnął.

— Co pan mówisz? to nie nie znaczący kawałek, szmat lasu...

— Włók kilkadziesiąt!



- Przesadzasz pan.

— Nie, panie hrabio, mapy świadczą...

Sulimowski żywo odwrócił się do pana Bala, który ust nie mógł otworzyć. tak sobie z tej sceny sprawy zdać nie umiał.

— A! widzisz pan, zawołał z wymówką, na co to naraził pana ten pośpiech w nabyciu. Nie byłem wcale przygotowany do sprzedaży, nie postarałem się wcześniej o dokładny opis stanu majątku. Teraz kłopoty spadają na pana. Ale sameś pan winien, na honor! A co mi robi przykrości, to wypowiedzieć trudno.

Parciński o mało się nie rozśmiał. Bal zaś ujęty pozorną szczerością już miał się uniewinniać, gdy plenipotent wrzucił:

— O komplnacji w istocie nic nie ma w tranzakcji.

— Spytaj pan swego pryncypała, odparł Sulimowski, jak się to robił interes, jak mnie nagliłi. jak mi tchnąć nie dali. Cóżem ja winien?

— Więc żadnego objaśnienia w tej sprawie pan hrabie dać mi nie raczy? spytał Parciński.

Hrabia już wkładał rękawiczki, spiesząc z wyjazdem, brał kapelusz i poczynął się żegnać, ruszył ramionami.

— Nie dziwuj się pan mojej niewiedomości w tej rzeczy, tyle mam na głowie, nigdy o Zakalu bliżej się nie sam nie objaśnił... nie starczyło czasu... miało to z kolei nastąpić, a wtem się sprzedało.

— Upadam do nóg pana.

To mówiąc zręcznie odwrócił się od Parcińskiego, który długie stał za nim wejrzenie, pośpiesznie się wycofnął, jeszcze żywiej pożegnał, i nie bez oznaki niecierpliwości wyleciał jakby nieciel.

## ROZDZIAŁ IX

---

### Plotki. — Harbuz pana Teofila.

Rzućmy teraz okiem na okolice Zakala. w których łonie zbierają się nowe burze.

Rządczyni wygnana w skutek własnej niezręczności z majątku. w którym panować jeszcze długo zamysłała, pierwszą była iskierką roznieconego wkrótce pożaru. Nie ma nic niebezpieczniejszego jak uparta zemsta maleńkich. jest jak tajemna robota owych robaczków okrągłych. co w proch obracają ogromne budowle, coś nie-dojrzanego. niepochwyczonego, czego w początku nie wi-dać. aż najmniej spodziany pokaże się skutek gdy nie ma nań ratunku.

Wygnała z Zakala przenieść się wprawdzie musiała do Supówki, gdzie hrabia dał kątek dawnej ulubienicy, ale z płaczem wsiadając na bryczkę gdy wyjeżdżała z Zakala zaklęła się, że pan Bał ustąpi z majątku jak oni z folwarku.

Odtąd cała się poświęciła wielkiemu dziełu najstrasz-

niejszej kobiecej zemsty; a że miała obszerne stosunki, mnóstwo znajomości i związki familijne, poczęła działać nadzwyczaj żywo i skutecznie. Przez czas jakiś pobytu w Zakalu przypatrzyła się rodzinie Balów, wypytywała służących i wywiozła niezły zapasik plotek, które przerabiała jak się jej podobało.

Nie chybiła też żadnej zrzeczności: nie było jarmarku, odpustu, zjazdu, gdzieby nie powtórzyła w różny sposób swoich szyderstw i wiadomości o Balach. Te przez służki i oficjalistów rozchodzily się po dworach, a że pani Supelkowa wiedziała co komu powiedzieć, trafiały więc w nposobienia tych, do których wymierzone były.

Dla jednych czyniła pana Bala bogatym neofitą, który zrobił majątek na łojowych świecach i zwietrzałym pieprzu, dla drugich malowała go jako ostatkiem goniącego bankruta, który wkrótce pójdzie z torbą. Do stało się tam i jemu i żonie i Lizi i synowi; każde z nich miało jakąś ukrytą słabość, wadę, namietność nieszlachetną i t. p. A że nie tak jak plotka szybko się nie rozchodzi i do nszów nie przylega, wkrótce szumiały po sąsiedztwie rozpuszczone baki, a trafiając do nposobień, mile znajdowały przyjecie.

Wszyscy sobie szeptali na ucho dziwy, dziwolągi o Balach... o jego przyjaźni z Moszkiem dowodzącej nie zupełnie zapomnianego pochodzenia; o chęci upokorzenia swoim zbytkiem sąsiedztwa, o złym stanie interesów.

Pan Porfiry któremu przez chwile zamarzyło się że będzie mógł sięgnąć po rękę Lizi, wybornie teraz wspomagał panią Supelkową przekonawszy się że za wysokie progi na jego nogi... Zimne obejście się Stanisława nie spieszącego zapoznać z młodzieżą, przyczyniało się do dziwnych o nim pogadanek.

Wkrótce potem Dankiewiczowie, którzy długo trzymali stronę nowo-przybyłych, gdy im Bał odmówił pożyczki pieniężnej, przyłączyli się do spisku siecią już okalającego Zakale.

Sąsiedztwo krzątało się jak nigdy, latali posłancy, biegaly liściki, przejeżdżały się panie, rozmowy zwracały się stale ku temu przedmiotowi i głowy coraz bardziej zapalały.

— Panowie, mówił deklamując podsędek Hurkot do zgromadzonych u siebie gości, potrzeba żebyśmy się w tak ważnej sprawie wzięli wszyscy za ręce! Tu o godność naszą ebody. o znaczenie... chcę mówić obywatelstwa! Żeby lada przybłęda chciał tu nam pod nosem odgrywać jakąś rolę, imponować, odgrażać się że nas zakasuje i upokorzy, to jest rzecz niesłychana i nieznośna.

— To jest rzecz nieznośna! powtórzył Dankiewicz świeżo przybyły.

— A! to i pan z nami widzę, rzekł zdziwiony podsędek, — niedawno utrzymywałeś stronę tego wychrzty!

— Mogłem się omylić, odparł pokornie Dankiewicz, ale w końcu głos publiczny, widzi pan... powszechna opinja.

— Przysięgnę, odparł po cichu Jaś Pancer do Hubki, że mu odmówili pieniędzy.

— Cha! cha! w gruncie to być musi... odparł Hubka.

— Pozwólcie mi dokończyć, odezwał się oglądając po zgromadzeniu gospodarz, rzecz pozornie mała, ale istotnie wagi wielkiej! Damyż się poniżyć i komu? nieznanomym jakim intruzom? O! co do mnie, na to nie pozwalam. Pierwszy mogę się teraz pochwalić, dalem przykład przyzwoitej dumy... dowiedziawszy się że

szukają stosunków i znajomości z nami, zamknąłem im dom swój.

Te wyrazy wyrzeczone były z tak napuszczonem uczuciem. że Jaś Pancer się uśmiechnął w kątku.

— Tak jest! dodał gospodarz — pokazałem im pierwszy, żeby z nami żyć, potrzeba się okazać... chce mówić, tego godnym...

— Brawo! brawo! zawołał Porfiry w uniesieniu, dającie zieleniaka, zdrowie gospodarza!

— Zdrowie gospodarza! powtórzyli wszyscy... kieliszki się napełniły, lice podsędka zaczerwienilo więcej jeszcze, odetchnął z dumą i uczuciem godności, powiódł okiem zwyciężkiem po wszystkich, szczególnie wstrzymując je na Dankiewiczu, którego uważał teraz za jedynym zamachem podbitego i upokorzonego przeciwnika.

— Ale bo to śmieszna pretensja, odezwala się cieniuchno i słodziuchno podsędkowa. zaledwie wysiedli, dom chcą wystrychnąć na pałac, i pewni już są że się wszyscy do nich zbiegną. Nie tak to żądni jesteśmy ich objadów jak Sulimowski i Zmora.

— To była widoczna impozycja, rzekł Porfiry, pani podsędkowa uważała pierwszej niedzieli, kiedy weszli do kościoła, jak zaraz zażądali pierwszego miejsca... sama pani poszła aż pod kratki.

— Gdybym była na miejscu proboszcza, żywo przerwała Dankiewiczowa, kazałabym dziadowi odpędzić jejmość cisnącą się pod wielki ołtarz! a co to, lawek im mało?

— We wszystkim tak, dogmatycznie poczał znowu podsędek, w najdrobniejszej rzeczy ta chęć panowania, pierwszeństwo! Za kogoż to oni nas mają, starą tu-tejszą szlachtę? Co oni sobie myślą? Ha! chce mó-

wieć, ha! co to my o nich dbamy?

— Wiesz pan nawet, rzekł z cicha Dankiewicz, że to nie są ludzie bogaci... ci co z blizka ich interesa znają, mówią, że wiele tam pożyczanego... a że hrabia ich ociął niemiłosiernie. kto wie czy nie pójdą wkrótce z torbami.

— O! to by był tryumf dla nas! zacierając ręce wykrzyknął gospodarz.

— Nie może być inaczej! — dodał Porfiry — ci ludzie tracą tu krocie! Rzucają pieniędzmi jak plewą; jedyna restauracja tej budy zakalańskiej kosztowała ich słyseż do dwudziestu tysięcy.

— Oh! oh! rzekł podsędek.

— Moszko mi to mówił.

— Supelkowa powiada, że sam nie ma wyobrażenia gospodarstwa.

— O! już to że stracą i ogromnie, to ręczę, dodał Hubka, bo im dyferencją zabierzemy niechybnie... A jeszcze... cha! cha! dobrego sobie namacali pleuipotentą pana Parcińskiego, tfu!

Podsędek ruszył ramionami.

— Jabył go do napisania kontraktu o moje wapno nie użył!

Wszyscy naturalnie rozśmiali się serdecznie.

— Sam panicz, podchwycił Porfiry, udaje sensata, literata; nie szuka znajomości, unika ludzi... Grafiatko! Raz tylko widziałem go u Zmory, a kilka razy w Zakalu, gdzie przestaje bywać... słowo honoru!

— Potrzeba żebyś przestał, zakrzyknęli wszyscy.

— Daję na to słowo, skłaniając głowę odrzekł Porfiry. — Myślicie że u mnie był choć raz?

— O! pewno nie! Jedni tylko państwo Dankiewicz-

wie tak szczęśliwi — zawołał podsędek — że ich raczyli odwiedzić.

— Jużciż byli i u państwa — odciął się z przekąsem Dankiewicz — aleśmy przecie wizyty im nie oddali.

— I spodziewam się, że nie oddacie! — zakrzyczał podsędek — bo inaczej nas byście wszystkich obrazili...

— Sama jejmość, przerwała Dankiewiczowa, z takimi tonami jakby to hrabianka z domu, urodzona z księżniczki, a coś żydowskiego w niej jest. Córeczka nieszpetna, ni to cyganeczka, ni to Sórka... a trzpiot słyszę co wyrabia ze Zmorą!

— O pan Zmora w łaskach wielkich, poddał pan Porfiry... rodzi się z hrabianki Sulimowskiej, łapią go jak mogą; panna słyszę szaleje za nim, ojciec na dwóch łapkach tańczy, matka co chwila daje do zrozumienia żeby się oświadczył.

— Śliczna rzecz będzie jak się z nią ożeni! Bedziemy musieli tę jejmościankę przyjmować! Głębokie mileczenie i namysły nastąpiły po wrzuconej trudności.

— O to prawda, rzekł podsędek — sek! cóż w takim razie poczniemy? — Za córką pójdą rodzice... ależ warto żeby tego biedaka Zmorę zreflektował, to szaleństwo! on nie młody, ta trzpiot! Bóg wie zkad?

— Matka słyszę była kochanką jakiegoś ministra, i córunia pójdzie śladem... wrzuciła podsędkowa.

— Nawet powiadają na ucho, poczęła z domu Kościńska, że to niebezpieczni są ludzie... bo sam... Reszta w uchu gospodyni utonęła, a ta pokiwała tylko głową.

— Potrzeba żeby ktoś Zmorę zreflektował, dodał podsędek.

— Komuż to stosowniej, patetycznie dodał Hubka, jak podsędkowi, pierwszemu u nas w obywatelstwie i tak powszechnie szanowanemu?

Hurkot się nadał i głową tylko sklonił w milczeniu.

— Pan to powinienes zrobić, zawołał Porfiry nie bez pewnej rachuby.

— Ba! ba! co mi tam leżć w cudze sprawy, nie jesteśmy tak z sobą blisko...

— Wszelako tu o nas wszystkich idzie, to sprawa ogólna! zawrzał Szalawiński... pan powinienes ratować Zmorę i sąsiedztwo od tego napływn barbarzyńców!

Podsędek rad z ważnej roli którą odgrywał, zastanowił się, zmarszczył i wyrzekł stanowczo:

— Zobaczymy! pomyślim.

— *Caveant Patres conscripti ne quid Respublica...* rzekł po cichu uśmiechając się Jaś Pancer.

Wrzawa trwała ciągle, a że w takim razie im więcej głów, tem większa przesada, osobliwsze potworzono i osnuto plany. Zadziwiająca zgoda panowała między spiskowcami, wszyscy bili na przybyłych, żywa dusza nie odezwiała się w ich obronie, uikt nawet uwagi nie zrobił, że nieczem nie dali powodu do obawy, wstrętu i prześladowania; że godziło się być ostrożnym, ale nie należało być niesprawiedliwym.

Proboszcz tylko siedzący na kanapie, który podparty na łokciu, słuchał rozmowy z pozorną obojętnością, wstał nareszcie ruszając ramionami.

— Kochani parafjanie, rzekł, proszę o głos!

— Cicho! ksiądz proboszcz mówi! odezwali się wszyscy.

— Słuchałem długo i z bolem serca coście to na



bliźniego swojego z taką gorączką niechęci mówili, i uszy mi wiedły: pozwólcieź się odezwać w imieniu sukienki mojej... Co waszmościom w głowie! co wam zrobili ci ludzie? co szkodzą? dla czego wierzycie rozsianym na nich plotkom? A wstyd! wstyd! Coście ich mieli przyjąć po bratersku, to się rzucacie jak dzicy na pastwę, kiedy im burza rozbitków na brzeg wyrzuci. Nie spodziewałem się tego po was, fe! fe!

— A! mieliżeśmy czego słuchać! zawołał podsędek — proboszcz wystąpił z kazaniem... Mości księżu! co innego kazalnica, a co innego kanapa!

— Książdz zawsze księdzem, panie podsędku.

— Jakto! proboszcz nie widzi że ci ludzie...

— Cóż ci ludzie zrobili? spytał żywo książdz.

— Nieznajomi!...

— Więc nim osądzicie, poznajcie!

— Duma im z oczów patrzy.

— Upokorzcie ich pokorą swoją...

— Dobrze to na kazaniu...

— Wszędzie dobre co dobre. odparł proboszcz.

— Więc my wiuni? w piersi palcem z gestem heroicznym cofając się na jednej nodze zapytał Hurkot.

— *Dixisti!* cicho odparł proboszcz.

Reszta towarzystwa zakrzyczała pocziwego księdza, który uszy zatknawszy doprawdy, uciekł z salonu do drugiego pokoju; a jakkolwiek występ jego w obronie nieznajomych nie zdawał się czynić wrażenia, ostygli jednak trochę prześladowcy, a przynajmniej ciszej o swoich planach rozmawiali...

Cały świetny wieczór u państwa Hurkotów zszedł na naradach w celu dopieczenia przybyłcom, a przystąpienie do związku Dankiewiczów nowe mu siły dawało.

Nazajutrz po naradzie ogólnej pojechał do pana Teofila Zmory w poselstwie podsedek, ale go nie zastał, właśnie poleciał był do Zakala, w skutek odpowiedzi przyniesionej przez hrabiego, dobijać targu z Lizią. — Zdawało mu się że mógł mieć trochę nadziei...

Nad wieczór zjawil się wyświeżony, wyszarmantowany, odmłodzony, wesoly i zaledwie się z towarzystwem mezkim przywitawszy, zbliżył do trzpiotowatego dziewczecia. Lizia byla w tym humorze trafiającym się znudzonym panienkom, pod którego wesolą powierzchwnią kryje się nieublagane szyderstwo. Pastwa przyszła jej w porę.

A że ojciec nie tail przed nią i przed matką ani wczorajszego zapytania, ani swojej odpowiedzi, oburzona tą śmiałością podlysialego kawalera Lizia, postanowila dać mu stanowczą odprawę.

Ale filut dziewczyna, nie znalazła się jak inna, coby od razu odepchnęła dumą, oziębłością, i nie dopuściła nawet rzec do siebie słowa, o! nie! uśmiechnięta, na oko wesola, powitała go wdzięcznie, spojrzała nań z przymileniem. zdawała się wyzywać. Było to niegodziwie, ale proszę pięknym paniom wytłumaczyć, że znęcać się nie mają prawa nad stworzeniem Bożem, które im los dal w ręce! Czasem niektóre z tych ślicznych istotek mają jakiś instynkt koci, i nim polkną myszkę, muszą się z nią niemilosieranie pobawić. Gniew Lizi na podstarzalego kawalera wywarł się w tej zemście, która miała minkę niewinną, łagodną. przyciągającą.

Pan Teofil doskonale wpadł w łapkę, rozjaśniło mu się lice, wzdeła pierś, zabłysło oko, zbliżył się żywo, a wkrótce njęty trzpiotowatą Lizi rozmową, coraz pewniejszy siebie, postanowil przejść Rubikon.

Wiadomo wszystkim co w życiu choć raz probowali zakochanych rozmowy, jak im nie wiele do niej potrzeba wątku, spuszczać się jak pajak po niedojrzanej nici w błękity eteru. Kwiatek, pyłek, bijąca godzina, zaślakany promień, pochmurne niebo, świst wiatru, czyjeś westchnienie, jedno słowo, jeden ruch, bywa tą nicią pajęczą. Chodzi tylko o to, by zacząć, mówi się o czemkolwiek, a aluzje do czegokolwiek przylepione tak się dobrze rozumieją. Powszechnie jedna strona poczyną coraz wyrażać się dobitniej, gdy druga udaje uparcie, że lub nie słyszy albo nie rozumie; czasem odpowie tak dwuznacznie żeby i dać nadzieję i módl ją w potrzebie cofnąć. O! przedziwne to rozmowy, które tylko w strefach między 15. a 27. trafiają się rokiem... późniejszym daleko do tamtych! Chciałoby się nieraz powtórzyć je, ale usta drżą, myśl się zwija, serce nie dosyła uczucia i wiary! Tyleśmy razy kochali! napróżno! rozmowa jak kwiat przesadzony z południowego nieba więdnie i usycha.

— Jak też pani wieś znajduje? spytał po kilku próbach bezskutecznych pan Teofil, koniecznie chcąc dwudziesto-letnią zawiązać rozmowę, co mu się nie udało.

— Dosyć nudną, odpowiedziała Lizia.

— Nie mogę stanąć w jej obronie, ale czekam wiosny.

— Mówiono mi, że w tutejszej okolicy wiosna szczególnie obfituje... w żaby.

— Któż tak nasze Polesie oczernił przed panią?

— Niestety! składało się na to kilka osób, mówiono mi także o komarach.

— No! przeciwko temu ani słowa... ale cóż nie ma czarnej strony?

— Tak dalece wszystko ma czarną, że ja dotąd najwięcej widzę na świecie rzeczy z obu stron nie białych.

— W wieku pani! zkądże takie rozczarowanie?

— O! wszak pan nie wiesz mojego wieku. Słuszniej-  
bym ja mogła spytać, dodała chytra dziewczyna, zkąd  
w wieku pana taki zapal jeszcze?

Zmora się zarumienił i rozśmiał, ale bardzo gorzko.

— Odpowiem także, wiesz-że pani mój wiek?

— Co do miesiąca! odparła Lizia filuternie.

— Bardzobym był szczęśliwy, żebym na taką z jej  
strony zasłużył uwagę.

— Była to prosta ciekawość... uśmiechając się i spu-  
szczając oczki szepnęła Lizia.

— A na obronę mojego wieku, jeśli tak pani dobrze  
wiadomo, odpowiem, że wedle najlepszych znawców  
mamy zawsze tyle lat ile sie mieć zdajem.

— Mówisz pan przeciwko sobie, odcięła ostro Lizia.

Przycinki stawaly się tak żwawe, że pan Zmora  
choć się śmiał, ledwie sobie mógł rady dać z niemi.

— Dziękuję, rzekł skłaniając się.

— Za co? spytała Lizia.

— Za komplement.

— To nie był komplement przecie.

— Wszystko co wychodzi z ust pani...

— Ostrożnie, będzie to plagjat z dewizki karmelkowej.

— Cóż, kiedy dziś na nic lepszego zdobyć się nie  
mogę.

— Dla czego dziś? spytała Lizia.

— Bo dziś, dodał pan Teofil zmieszany, przyjecha-  
łem z wielkim strachem i wielką myślą.

— I ta myśl, której widzi pan że się nie dopytuje,

pojadła jak szczupak żarłoczny wszystkie maleńkie myśli.

— Porównania nastrepiło pani sąsiedztwo Horynia — rzekł Zmora.

— Niech mnie Bóg broni, żebym je polawiać miała w tej smutnej rzece!

— Zobaczysz je pani wiosną.

— Niestety! zobaczę.

— Dla czegoż, wystarczy?

— Bo coraz mniej wieś lubię.

— A gdyby całe życie przyszło na wsi zamieszkać?

— Jakby to być mogło przeciw woli mojej?

— Naprzykład, gdyby pani poszła za męża...

— No! to mój mąż zawiózłby mnie do miasta.

— I nie potrafiłabyś się pani pogodzić z naszą wsią spokojną?

— Widzi pan, odparła Lizia, ja jestem spokojna i wieś jest spokojna, jakbyśmy się tak zebrały, to by było nieznośne...

— Pani spokojna?!

— Pan znajduje przeciwnie?

— Ja się tylko pytam.

— Więc pan wątpi?

— Chce się dowiedzieć.

— A cóż to pana obchodzi jaka ja jestem?

— Mnie! mnie to najmocniej! najmocniej obchodzi! niech pani wierzy!

— Przyznam się że nie rozumiem, ruszając ramionkami odpowiedziała Lizia.

— Bo pani zrozumieć nie chce.

— Ale powiedz mi pan, jak pojąć, jaki może mieć związek..... ja i pan...

— Ja to oddawna pojmuję!

— A ja nie mogę...

Zmora się zbil z tropu, ale postanowił zmienić ton i wypowiedzieć się wyraźnie, po chwili stanął znów do walki. Lizia odchodziła, wstrzymał ją.

— Za chwilę, rzekł, pożegnam państwa, pozwoli mi pani przybyć znowu?

— Ja? a cóż to do mnie należy?

— Całkiem i tylko do pani... a! gdybyś pani zrozumieć mnie chciała! Jestem tak nieszczęśliwy, że się nawet wytłumaczyć nie umiem... o słowo pociechy proszę...

— Mówmy wyraźniej, bez zagadek — odczwalo się dziewczę.

— Los mój jest w ręku pani!

— Ale to nowa zagadka.

— Ja panią kocham! zawołał nareszcie pan Teofil po cichu, ale wyraźnie.

— To bardzo dobrze, zimno odpowiedziała Lizia.

— O! czyż się godzi sztydzić?

— Ja mówię zupełnie serjo.

— Mogę mieć nadzieję?

— Jakiejże pan żądać możesz?

— Pani nie masz litości!

— Owszem, pełniuteńkie serce, ale tylko litości.

Zmora popatrzal, zobaczył uśmiech złośliwy, oblał się krwią cały, zagryzł usta, zakręcił, pożegnał szybko i uciekł.

— Wyborniem go odprawila! klaszcząc w male rączki zawołała Lizia, poszedł z kwitkiem.

— Liziu, na Boga! możesz była niegrzeczną!

— Ja? chyba do zbytku grzeczną, kochana mamó.

— Zrobisz nam nieprzyjaciela!

— To bardzo być może, ale trudnoż pójść za niego dla zakupienia sobie jego przyjacieli.

— Djabie kwaśny odjeżdżał! rzekł pan Bał.

— O! bo też to śmieszna myśl, z oburzeniem zawołało dziewczę, chceć się żenić ze mną! I tupnęła nóżką. — Pierwszy z brzegu, jakby już była starą panną! Na wpół lisy, pachnący piżmem, którego nie cierpię, bo mi stare szale przypomina, w pretensjach do dowcipu, do państwa! Dobrze mu tak! dobrze mu tak! odmowa zawsze odmową, byłby się nią obraził niechybnie, wołałam go odprawić w ten sposób, żeby ani myślał powracać.

---

## ROZDZIAŁ X.

### **Dalszy ciąg sąsiedzkich spiskow.**

Pan podsedek Hurkot kiedy sobie raz postanowił, miał to w naturze, iż się nie łatwo wyrzekał swoich pomysłów, zwłaszcza gdy w nie wchodziły mowy, które ułożywszy musiał wypowiedzieć. Sejmiki dawne dały tę żyłkę deklamatorską, z której się rad wynosił, będąc pewien że okolica nie ma nad niego większego mowcy. Deklamował wśród salonu, w poufalem zgromadzeniu, do żony, do dzieci, przez sen czasami i w konfesjonale do księdza. Taki człowiek mogąc spróbować swej swady na panu Teofilu i mając niejaką nadzieję zwycięstwa, wyrzec się jej łatwo nie chciał. Nie zastawszy więc w domu Zmory, gdy jeszcze tam i na powrót jadąc mowę swoją do niego przygotowaną zaumienienie wykończył, musiał powtórnie pojechać do Brogów, ażeby wrażenia jej doświadczyć.

Trafił właśnie na najkwaśniejszy humor po harbutzie, z którym się jednak nie chwalił kuzyn hrabiego,



i o nim sąsiedztwo nie jeszcze nie wiedziało. Z miną ważną i zadumaną dyplomaty, który traktować ma zawiklane międzynarodalne zagadnienie, wstąpił na próg gotyckiego domku panu podsedek, przeżuwając mowę swoją na progu jeszcze, gdzie ważny dodał wykrzyknik po którym wiele sobie skutku obiecywał.

Zastal pana Teofila ze związaną głową, żółtego, zestarzałego, smutnego i pokaszlnącego skutkiem rozlewu żółci.

— Cóż ci to szanowny sąsiedzie? — zapytał troskliwie, oburącz go witając... widzę pana tak zmienionym, cierpiącym!

— W istocie, w istocie, odparł pan Teofil, jestem cokolwiek niezdrów, coś wewnętrznego, wziąłem już Morissona, i zapewne to przejdzie.

— A! pan jesteś zwolennikiem Morissona?

— Doświadczyłem jego dobrych skutków.

— A ja w wodę wierzę, nie ma jak woda.

— W ogólności jak co komu służy.

Rozmowa poczęta od farmaceutycznej rozprawy, tępo szła z początku, zwiłaj się podsedek, chcąc ją na przedmiot swój naprowadzić, ale mu szło uparcie. Nie zrażał się jednak, dwoisty podobno cel mając na oku: szło mu o zemstę nad Balami mogącemu mu wydrzeć pierwszeństwa palmę, a trochę także o córkę, którą zamyslał wydać za pana Zmore od dawna. On i żona szepnęli sobie nawet świeżo, że byle tylko od Balów oderwać Zmore, podstarzały kawaler będzie musiał się z podsędkówną choć nie ładną i nie bogata ożenić. — Ta uwaga dodawała zapалу panu Hurkotowi, gdyż jakkolwiek bądź, ale interes własny silny to zawsze bodziec; i nie tak nie rozgrzewa, jak gdy o swoje skórę chodzi.

— Słyszałem, rzekł po półgodzinnem biciu się o różne przedmioty podsędek, słyszałem że pan dobrodziej byłeś temi dniami (właśnie kiedyś miał honor mu służyć) w Zakalu.

— A tak, obojętnie odparł Zmora, byłem tam na chwilę, i dodał, nie dopuszczając się posądzić... w interesie hrabiego.

— Pan dobrodziej bliżej tych ludzi poznałeś, dziwy o nich mówią, co też za jedni?

— Trudno co stanowczo wyrzec, znajomość krótka, bałbym się tak wyrokować z niej.

— Ale mówią nie ciekawie.

— Mnie to jeszcze nie doszło.

— Gdyby dziesiątą część tylko w tem było prawdy, dość by tego na potępienie.

— Przecież? spytał ciekawie Zmora.

— Nie wiem tylko co wybrać na początek, a jest tego dosyć!! Dziwią się też wszyscy powszechnie, i nie chcą wierzyć pogłosce, jakobyś pan dobrodziej bywał u tych przybyszów w jakichś zamiarach.

— Ja! — gorąco i z oburzeniem niemal porwał się pan Teofil ruszając ramionami i śmiejąc się ale nie szczerze — ja! a! a! śmieszne prawdziwie przypuszczenie...

Podsędek nie mógł już dłużej wytrzymać, dławila go mowa, powstał.

— Kiedy tak — począł szparko — mogę więc mówić szczerze... Ja nigdy temu nie dawałem wiary, żeby pan, człek wyższego towarzystwa, świetnego urodzenia, który jesteś młodzieży naszej perłą.

(Skłonił się skromnie Zmora.)

— Nie wierzyłem byś pan mógł tak na lekko po-

wziąć myśl jakąś, nie znając tych ludzi... Byłem zawsze jego obrońcą gorącym. W istocie, my tu wszyscy oburzeni dnmą, chęcią imponowania ludzi, którzy się niczem jeszcze nie zasłużywszy już chcą sięgać po wszystko... chcemy stanąć murem przeciwko przywłaszczycielom... Mogłoby być, byś pan jeden wyłączając się z koła współobywateli, podawał rękę ludziom więcej niż wątpliwej przeszłości? Nie! nie! po stokroć nie! mówiłem zawsze... Gdyby nawet piękna twarzyczka niewieścia uczyniła na nim wrażenie, miałbyś pan, ręczę, poskromić je i powstrzymać się do bliższego poznania ludzi, niegodnych może tego zaszczytu, jaki im chciałeś uczynić...

Pan Teofil stał odurzony wylewem wymowy podśedka, to tylko z niej zrozumiałwszy, że go już o staranie posadzono, chodziło mu bardzo o ukrycie harbuza.

— Bardzom wdzięczem panu podśedkowi za jego obronę, rzekł poważnie, ale to były domysły zupełnie fałszywe... przyznam się że w początku powierzchowność tych ludzi zdurzyła mnie i omamiała, postanowiłem bliżej ich zbadać... To był istotny powód moich odwiedzin.

— O! — zawołał podśedek głowę schylając a palce podnosząc do góry — o! to co innego! Szczęśliwym, że tak dobrze odgadło serce moje szlachetne zamiary pańskie. Ale co to są złośliwe języki ludzkie! u nas już rozplatali, że się pan starasz o panienkę! Mówiłem, gardłowałem napróżno że to być nie może. — Wreszcie, gdy mi to codzień w nszy klasć poczęto, gdy my, co ich odepchnąć chcemy, zagrożeni zostaliśmy opieką, którą pan dać im mogłeś, przyznam, że przyłąciałem też w zamiarze perswazji.

— I wiesz kochany podsędku, że gdyby co było do wyperswadowania, pewniebyś tego dokazał, aleście się wielce omylili. Bywałem po prostu przez ciekawość, a chcecie żebym wam dał dowód, że trzymam zawsze ze swemi i pragnę jedności z niemi, oto od dzisiejszego dnia bywać przestaje.

Rozpromieniał Hurkot, uśmiechał się, widząc z jak pięknym powroci tryumfem, otworzył szerokie ramiona i rzucił się w objęcia Zmory. który dość niechętnie przyjął uścisk zatabaczony podsędka.

— Otóż to mi obywatel i sąsiad! Teraz, zawołał, nikt nas nie pożyje, pójdziemy ręka w rękę wszyscy razem i upokorzymy, zgnieciem tych przybyszów!!

Zmora się nśmiewał i jemu ta zemsta była bardzo pożądaną.

Usiedli, podsędek zużywszy kawałkami swoją mowę, której znaczną część musiał schować do kieszeni, gdyż ułożył ją był myśląc o oporze ze strony pana Teofila, którego nie znalazł, począł już ciszej i prozą zwyczajną, zażywając tabaki.

— Powiedz-że mi, ot tak szczerze między nami kochany sąsiedzie, co też to za dom, bo, jakem ci miał honor wspomnieć, chodzą o nich wieści dziwne. Miałeś zręczność zbliżka się im przypatrzeć, objaśń nas.

— To pewna, żem pilnie starał się wnikać w tajemnice tego domu, rzekł Zmora, ale to poprostu bogaty kupiec, który zarobiwszy na pieprzu, chce grać rolę wielkiego pana.

— Prawda to, że jego żona była faworytą ministra?

— Nie wiem, nie wiem, i nic nie upoważnia do takiego sądu, odparł Zmora, wszakże takie się wieści z palca nie wysysają.

— Oczewiście!

— Pani bardzo ndaje poważną i wielką rygorystkę, to zły znak; kobiety co sobie mają coś do wyrzucenia, kończą zawsze na przesadnem ndawaniu cnoty, której nie miały.

— Głęboka, filozoficzna, wzniosła uwaga, zawołał Hurkot. Co za myśl! co za myśl! A więc jest podobieństwo?

— Przynajmniej niepodobieństwa nie ma.

— I bogaci to ludzie?

— To pewna, że się bogatymi wydają, ale któż wie co w ich worku?

— A w domu?

— O! z pańska! bardzo szumnie!

Podsędek aż pobił ze strachu.

— Byliby mnie zakasowali! — rzekł w duszy — szczęściem teraz od nich jak od zapowietrzonych uciekać będą.

— A sam Jegomość? mówią że to podejrzana figura? był slysze jakimś tajnym urzędnikiem?

— Tego nie wiem.

— Trzeba się go wystrzegać! to pewna! Będzie rachował na to że nic nie wiemy! Kto go zgadnie? nasz kątek zawsze stał w opozycji, wiedzą o tem daleko; może go tu umyślnie nasłano dając mu fundusze na kupienie majątku?

Zmora byłby się rozśmiał, ale nadto gnębiło go upokorzenie, żeby w tej chwili mógł się rozweselić.

— A syn? dodał Hurkot, slysze ponury, tajemniczy, dziki, nieprzystępny!

— Że nie bardzo towarzyski to pewna.

— O córeczkę nie pytam, dodał podsędek, bo sly-

sze trzpiot! Drżałem na samą myśl takiego towarzystwa dla mojej córki! Jakiśmy się tylko dowiedzieli że u nas być mają, uciekliśmy z domu, a mnie to na co? Dankiewicz ich przyjeł, ale teraz słyszę żalują. Łączą się z całym sąsiedztwem. postawiwszy się przez nierozwagę na fałszywej pozycji. Teraz mówimy jeszcze o najważniejszym... pan już u nich nie będziesz?

— Daje panu słowo.

— Stokrotne dzięki!... nikt z nas ich nie przyjmie i u nich nie postanie... Hubka nawet, choć ma interesa, będzie szedł drogą procesu. Potrzeba nam ich ztąd wykurzyć!

— To może być przytrudne, rzekł Zmora, a nuż się uprą siedzieć na złość?

Hurkot się uśmiechnął i brwiami poruszył, co u niego zawsze obiecywało wiele.

— Na to są sposoby! Nie zrobim nic za coby do nas przyczepić się mogli, nie wyraźnie... ale wszędzie znajdują obojętność twardą, nieublaganą, na każdym kroku przeszkodę. nigdzie pomocy, z nikim towarzystwa... Mamy środków tysiące! obejmie ich kołem żelaznem, licho zjedzą żeby wytrzymali...

Zmora gdyby się był nie obawiał posądzeń. byłby spytał za co to wszystko i dla czego? oburzały go nawet trochę zamiary sąsiedztwa, ale się odezwać nie mógł. trzymając barbuza w kieszeni. Chodziło mu o to bardzo żeby się o nim nikt nie dowiedział, ale zemsta jego tak była gorącą, że przed przybyciem podsiedka nawet wpadał już na myśl starania się i ożenienia prędkiego z jego córką... Iluż to ludzi mści się tak na swojej przyszłości za chwile upokorzenia!

Odpowiedział więc tylko uśmiechem dwuznacznym

przyszłemu teściowi.

— Przyznam się panno dobrodziejowi nawet, że na przyszłą niedzielę osnułismy małeńki programat, dodał podsędek zażywając tabaki, nie robię sobie z niego chluby, bo to rzeczywiście koncept mojej żony.

— No! cóż to takiego?

— Wiesz pan, że zwykle przybywając do kościoła Bałowie, chcą się odróżnić od wszystkich, by nie zmieszać z tłumem. Damy im naucekko. Pani idzie przed wielki ołtarz i tam się rozsiada. Moja żona dobrała już starą żebraczkę i młodą ślepą dziewczynę, które ma nuniścić na krzeselku pani Bałowej. Przed kratą ustawim rządem ubogich, żeby nawet klęknąć gdzie nie miała. Ławki będą zajęte, my wszyscy postanowiliśmy ich nie widzieć, nikt im miejsca nie zrobi, niech idą do kruchty! A co?...

Pan Teofil z przykrością się uśmiechnął, ale nie odpowiedział, a podsędek narozprawiawszy szeroko, rad z siebie niezmiernie, odjechał nareszcie całą znowu drogę układając przyszłe opowiadanie o rozmowie swej ze Zmorą, o środkach które na pokonanie go używać musiał i t. p.

W Zakalu spokój chwilowy panował, gdyż spisek sąsiedzki jeszcze tam był nie doszedł, postrzegał tylko pan Bał, że ani Dankiewiczowie, ani nikt z sąsiedztwa dotąd go nie odwiedzili i dość mu to było przykro, ale umowy żadnej nie przypuszczał, nie czując się do winy. W następującą niedzielę wedle zwyczaju zebrali się jechać do kościoła. Bily dzwony na sumę, gdy samie zaszyły przed skromną bramkę, cała rodzina weszła razem, a pani Bałowa swoim zwyczajem posunęła się wprost na zwykle miejsce.

Tu, jak powiedział podsędek, stali kupą żebracy, zastawiający ołtarz i księdza, a na krzeselkach dwóch, gdzie zwykle zabiera miejsce Lizia i jej matka, rozsiał się dwie ohydne baby.

Ich miny nie dozwalały wątpić na chwilę o zamiarze wyrządzenia przykrości; twarz pani Bałowej oblala się rumieńcem. Lizia o mało nie omdlała, ale wprędce dom Boży, dom modlitwy poddał kobiecie myśl chrześcijańską. Umieściła się z pokorą w pośrodku żebraków, którzy się trochę usunęli, uspokoiła w chwili i poczęła modlić.

Towarzystwo które ciekawie poglądało na wrażenie jakie uczynić miał ich nieprzyzwoity podstęp, zadrżało widząc momentalne wahanie się Bałowej i uczulo upokorzenie, gdy z zimną krwią zajęła kątek wśród żebractwa... Bał i Stanisław, którzy to widzieli z daleka i nie mogli nic zrozumieć intencji, nim się rozmyślili co począć, już zobaczyli że przytomność umysłu i dobrze zrozumiana pokora dały zwycięstwo. W istocie nikt z parafjan co to osnuli nie spodział się takiego końca, wyobrażali sobie że kupcowa albo wyjdzie narażając się na śmieszność, albo z oburzeniem cofnie się do ławek, które dla niej zamknięte być miały.

Tymczasem proboszcz, który po niewczasie żebractwo u krutek zobaczył a wszystkiego się domyślił, załamywał ręce w zakrystji, posłał zakrystjana i usunąć się kazał przybyłym, a sam podszedł do pani Bałowej, zapraszając ją do ławki w presbyterjum.

— Bardzo dziękuję Waćpanu dobrodziejowi, odpowiada kobieta, mnie tu dobrze, a że w kościele wszyscy równi, proszę pozwolić tym biednym zostać na miejscu. Wobec Boga jest to pewnie najlepsze towarzystwo.



Jakkolwiek niezmierniej łagodności i dobroci często zbytecznej był proboszcz, na ten raz za użycie tak niegodne domu Bożego niezmiernie się rozgniewał, znalazł w ewangelii dnia tego słowo o poszanowaniu kościoła i wstąpił na kazalnice z gromem oburzenia na ustach.

Była to niemiła dla sąsiedztwa niespodzianka, a nanka tak zresztą miała ceł wyraźny, że się na jej znaczeniu omylić było niepodobna. Podsedek odwrócił głowę od ambony, nosem zwijał, tabakę zażywał ale się na prawdę gniewał.

— Noga moja nie postanie u proboszcza, rzekł do żony, w nie swoje rzeczy się wdaje! To są osobistości! Wykurzmy go tego intryganta!

Nabożeństwo skończyło się zresztą jak zwykle i państwo Balowie przeczekawszy wszystkich, od nikogo nawet skinieniem głowy nie powitani, gdyż każdy udawał że ich nie widzi, wyszli nareszcie smutni z kościoła. Zwykli goście którzy zawsze u proboszcza śniadali, pojechali wprost do domu z żalem od niego, tak że na probostwie jeden był tylko Jaś Pancer.

Proboszcz chodził ciągle w oburzeniu jeszcze, poruszony i tem więcej rozdrażniony, że nie miał na kogo zaraz wylać gniewu swego.

— A to skaranie Boże z tymi ludźmi! mówił do jedyne gościa, który zajaadał smaczno tymczasem. Oni sobie świątyni pańskiej używają na igraszki! Chrystus Pan wypędzał z niej kupców, a cóżby powiedział żeby zastał intrygantów! Doprawdy nie warto być dobrym, oni sobie myślą że im na wszystko pozwolę. Tak! róbcie ze mną co chcecie, ale od kościoła wara!

— Może też to nie było ich myślą, rzekł Pancer.

— Jakto! żebracy mi wyśpiewali jaką im dano instrukcję. Ale zobaczy podsedek jak mu wytrę kapitule! Będą się gniewali na kazanie! niech się gniewają; nie mogłem wytrzymać ze zgrozy! Jeszcze czego nie stało! teatr mi zrobią z Bożego domu! Ręczę, że to podsędkowej robota. Ale dobrześmy im nosa utarli. Ta zacna kobieta znalazła się ślicznie, przykładnie, gdyby nie kościół, byłbym ją w reke pocałował.

Gdy się to dzieje w plebanii, na drodze do Dębna, do Burek i Brogów wrą w powozach rozmowy, krzyżując się wymówki... Wszyscy czuli że się im nie udało, każdy zrzuci winę na drugiego...

— Ja zaraz mówiłem że to się nie godzi, wola podsedek, ale waćpani uparłaś się.

— Ja się uparłam, a któż ludzi ustawiał?

— Prawde powiedziawszy, odzywa się Dankiewicz — podsedek zrobił głupstwo.

— Jak zawsze, szepcze z domu Kościńska.

— Wzięli nosa i potężnego, śmiał się Itubka lubianemi sankami prąc do domu... cha! cha! cała historia.

W początku państwo Balowie milczeli chwilę, widząc było na twarzy samej i Lizi wzruszenie tajone, narreszcie lzy puścili się z oczu biednej...

Bal siedział niemal osłupiały, nie mogąc pojąć co to się stało, ani sobie wytłumaczyć. Zaczynał przypuszczać, że pomimo uczuć jakie przyznawał wsi mieszkańcom, znajdowali się tu i mniej dobrzy, mniej cnotliwi ludzie... domyślał się nieprzyjaciela, ale nie wiedział jeszcze ile ich przeciwko niemu było.

Staś wrzał i szukał tylko w głowie powodu do uczciwego ujęcia się za matką i za siostrą. W istocie

jednak było to coś, acz wyraźnie wymierzonego do nich. jednak nie dającego się pochwycić... Jawnem było że te żebraczki w krzesłach same tam nie osiadły, ale się o to ani njmować było można, ani szukać sprawcy.

— Ha! rzekł pan Bal z westchnieniem, wszędzie są ludzie... moje serce... Może im było przykro żeś nie szła do ławek... Posądzam o to Hurkotów. chociaż im nie uchybiłem w niczem. — Trzeba to znieść w milczeniu...

— To są przyjemności wioski, z anielską cierpliwością odezwała się pani Bal.

— To się wszędzie zdarzyć może, ruszając ramiionami odparł Bal. ty się duszko uprzedzasz... Zresztą może być przypadek po prostu, niepotrzebnie bierzemy to do siebie.

— Uważałeś że wszyscy zdawali się nas nie widzieć wychodząc z kościoła?

— Ale bo kto się wita i kłania w kościele! rzekł Bal, na wsi ludzie ściśle się trzymają starodawnych zwyczajów. Ja to znajduję bardzo słusznem, w domu Bożym ani rozmowy, ani przywitań być nie powinno.

— Posądzam Zmore, rzekł żywo Stanisław, Lizia mu odmówiła przykro, będzie się na nas mścił; był w kościele i ani się zbliżył do nas.

— To najprzedziej, podchwycił kupiec, masz słuszość, ale niech mi daruje, nie okazał wychowania.

— Przy pierwszej zreczności. szepnął Stanisław, dam mu nauczkę.

Matka chwyciła go za rękę.

— Na Boga Stasin! jeszcze tego brakło mi do wszystkich strapień moich, żebym o ciebie truchlala? porzuc tę myśl. zakliwam cię, porzuć!

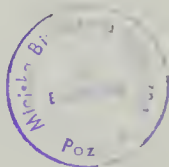
Pan Bal spojrział na niego z obawą.

— Do czego to, rzekł, do czego? Jest to chwilowe rozdrażnienie może, jeżeli nie fałszywy domysł. Wszędzie początki trudne, zawsze ludzie ludźmi, nie mówmy o tem ani słowa!

Tak zamknąwszy nsta wszystkim, powrócił pan Erazm do domu, ale długo chodził po swoim pokoju i wzdychał ciężko.

Ha! rzekł w końcu do siebie, to być nie może, żeby nas Bóg wie za co nienawidzić miało. Śnią się nam prześladowania gdy ich nie ma. To ludzie pocziwi, pełni prostoty i szczerości, niegodziwie ich posadzamy, pewien jestem że to się wyjaśni i pokaże, żeśmy względem nich byli niesprawiedliwi. Nie ma jak wieś! nie ma *jak wieś!*

KONIEC TOMU TRZECIEGO.







509—

Biblioteka Raczyńskich

**JK 1474**



**JK1474**